

# KAMENIA

LUBLIN

15.1.1961

Nr 1 (215)

ROK XXVIII

CENA 2 ZŁ

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

W NUMERZE: Laurka dla PDK • Lekarz-antropolog-archeolog • Przed „Merkuriuszem” • Z Teatru im. Osterwy • Proszę o głos w sprawie teatru „skromnego...” • Nagrodzona powieść • Wspomnienia z 20-lecia (I) • Remanenty po Kazimierzu Wielkim • I in.

## NA STYKU PIĘCIOLATEK

MARIA BEHCZYC-RUDNICKA

Przez sześć z górą lat, które dzieli dzień dzisiejszy od historycznego momentu uchwalenia w Sejmie ustaw o kompetencjach rad narodowych, mówiono u nas dużo i pisano, że literat, plastyk, aktor, muzyk, skoro chce naprawdę efektywnie pomóc radom w ich wszechstronnym trudzie, musi również sam dążyć do wszechstronności zainteresowań i przejmować się istotnie stanem budowy nowego życia na różnych jego odcinkach, bo kultura jest niepodzielna. Ale większość trudnych postulatów wymaga długiego, wytrwałego powtarzania, zanim zrealizują się stanowiące ich treść postulaty. Toteż nikogo z pilniejszych czytelników prasy literackiej nie zaskoczy apologia Roczniaka Statystycznego wygłoszona niedawno w „Przeglądzie Kulturalnym” (nr 1 z dn. 5.1. br.), gdzie Stefan Frenkel pisze tak:

Jeśli wyobrazić sobie człowieka, który przez dwadzieścia lat przebywał na innej półkuli i przez cały czas nie otrzymywał żadnych wiadomości z kraju, a nagle pragnąłby dowiedzieć się o życiu społeczeństwa w swojej ojczyźnie, to przeczytanie całej literatury pięknej w tym czasie wydanej nie dałoby mu takiej dożył pożądaných informacji, co przewertowanie Roczniaka Statystycznego.

Jest to ocena z pozycji ekonomisty rozkochanego w liczbach, niemniej trzeba mu przyznać już stuprocentową rację, kiedy mówi, iż za liczbami kryje się cały romantyzm dzisiejszej epoki, epoki, którą cechują głębokie przemiany całego naszego społeczeństwa.

Stąd płynie wniosek, że jednym z podstawowych, najpilniejszych obowiązków czasopisma społeczno-kulturalnego jest informowanie swych czytelników o aktualnych planach gospodarczych, nie tyle może za pomocą liczb, ile opartych na nich wywodów. Albowiem w dobie coraz wspanialej zapowiadających się lotów kosmicznych nie przystoi nikomu „spadać z księżycą” na obszarach techniki i gospodarki narodowej, co niestety zdarza się nierzadko wskutek pokutującego jeszcze u nas wzajemnego odizolowania środowisk technicznych i humanistycznych.

Z takich to przesłanek wynikała w redakcji „Kamenu” decyzja zwrócenia się do władz terenowych z prośbą o ocenę, chociażby lapidarną, osiągnięć ubiegłego roku i możliwości rozwojowych województwa lubelskiego w rozpoczynającej się nowej pięciolatce.

\*

1 sekretarz KW PZPR Władysław Kozdra stwierdza stanowczo, że rok 1960 był dla naszego regionu rokiem poważnych sukcesów gospodarczych. Przemysł Lubelszczyzny przekroczył swoje zadania, dając krajowi nadwyżkę produkcji wartości ponad

400 milionów zł. Wręcz rekordowe osiągnięcia można odnotować w cukrownictwie. Z kolei nasze przedsiębiorstwa budowlane zdołały wykonać swoje plany, pokonując trudności obiektywne, które występowały u nas, tak jak w całym kraju. Radosnym faktem było też powstanie nowych obiektów przemysłowych i socjalnych — Cementowni chełmskiej, Zakładów Materiałów Budowlanych w Lubartowie.

Krótko mówiąc, państwowy przemysł terenowy zdobył pierwsze miejsce we współzawodnictwie ogólnopolskim.

Oceniając następnie osiągnięcia rolnictwa lubelskiego 1 sekretarz KW PZPR zwraca uwagę na wielkie zaniedbania przy ogromnych możliwościach rozwojowych w tej dziedzinie. Obok wysokiej produktywności upraw przemysłowych, biją w oczy rażąca dysproporcja w rozwoju hodowli zwierzęcej i produkcji pasz. Radykalnych środków wymaga też rozwiązanie problemu zbożowego.

— Perspektywy, jakie otwiera przed naszym przemysłem nowy plan 5-letni? A więc: wybudujemy kombinat azotowy w Puławach, cukrownię w Wierzbokowicach, zakłady mięsne w Łukowie, szereg mniejszych zakładów. I znacznie rozbudujemy obiekty już istniejące. Wartość produkcji przemysłowej ma wzrosnąć dwukrotnie w stosunku do ubiegłej pięciolatki. W rolnictwie zainwestuje się miliardowe sumy. Przewidziany jest wzrost nakładów z 1.600 mln zł w ostatniej 5-latce do 6.700 w latach 1961—1965.

Doceniając wzrastające zrozumienie społeczeństwa dla słusznej polityki gospodarczej Państwa, podkreślając znaczenie starań władz wojewódzkich i powiatowych o lokalizację obiektów przemysłowych w powiązaniu ze społecznym zapotrzebowaniem, tow. W. Kozdra kładzie nacisk na zespolenie wysiłków władzy państwowej i całego społeczeństwa jako na nieodzowny warunek pomyślnego wykonania zamierzeń i polepszenia życia.

## W OPARCIU O REALNE PRZESŁANKI

Zespoły: mgr inż.-arch. Zofii Haman w składzie: mgr inż. arch. Teresa Myszkowska, mgr inż. arch. Kazimiera Krausinska, arch. Stefan Więsyk, mgr ekonomii Stefan Ruciński, inż. rolnik Ludwik Lorek) oraz zespół mgr inż. arch. Kazimierza Majewskiego ( w składzie: mgr inż. rolnik Paulina Szwań, mgr inż. arch. Anna Myszkowska, mgr geografii Julian Dubas, arch. Marian Dulniak i technik geodeta Kazimierz Matwiejczuk), z Wojewódzkiej Pracowni Urbanistycznej w Lublinie, za wspólną pracę nad utworzeniem planu zagospodarowania przestrzennego obszarów osiedleńczo-rolnych dla powiatu hrubieszowskiego i tomaszowskiego zostały laureatami ogólnopolskiej nagrody w dziedzinie architektury i urbanistyki na rok 1960.

— Czy mogliby państwo powiedzieć coś bliższego o tej nagrodzie?

\*  
W grudniu r. 1954 pisałam w „Kamenu”:

Bardzo cenną zdobyczą Polski Ludowej jest zasada łączenia wiedzy fachowej z wszechstronnością zainteresowań. Rozległy zakres działania rad gromadzkich czyni z nich ośrodki, w których hasło rozszerzenia horyzontu umysłowego będzie siłą rzeczy realizowane, a więc sprawy kultury znajdą tu niezawodnie właściwe zrozumienie... Postulat upowszechnienia kultury, wysunięty przez PKWN, zdążył spowszednieć w ustach inteligencji, zanim można było osiągnąć jego realizację w

(Dokończenie na str. 4)



## KONKURS „KAMENY”

Włączając się do akcji „Wiedza pomaga w życiu” Redakcja „Kamenu” ogłasza konkurs pod hasłem:

„CZY ZNASZ GEOGRAFIĘ LITERACKĄ LUBELSZCZYZNY?”

Podajemy spis miejscowości z tematu lubelskiej związanych z urodzonymi, życiem lub śmiercią wybitnych pisarzy, znanych z historii literatury polskiej:

BIAŁA PODLASKA, BIŁGORAJ, KOŃSKOWOLA, LUBLIN, NAŁĘCZÓW, PUŁAWY, REJOWIEC, WOLA OKRZEJSKA, ZAMOŚĆ

Rozwiązanie konkursu polega na podaniu, jacy pisarze wchodzą tu w grę. Zaznaczamy, że w stosunku do niektórych miejscowości trzeba podać kilka nazwisk.

Odpowiedzi należy nadsyłać w terminie do dn. 1 marca br. pod adresem Redakcji „Kamenu”, Lublin, Graniczna 1-c, załączając poniższy kupon. Odpowiedzi bez kuponu są nieważne.

Uczestnicy konkursu, którzy nadeślą odpowiedzi najpełniejsze, otrzymają cenne nagrody rzeczowe i książkowe.

### KUPON

NA UDZIAŁ W KONKURSIE „KAMENY” POD HASŁEM „CZY ZNASZ GEOGRAFIĘ LITERACKĄ LUBELSZCZYZNY?” — OGŁOSZONYM W RAMACH AKCJI „WIEDZA POMAGA W ŻYCIU”.

— Oczywiście. A więc przede wszystkim dumą nas napawa okoliczność, że jest to nagroda I stopnia. Nasi „rywale” z powiatu kłobuckiego (województwo katowickie) za podobną pracę dostali nagrodę III stopnia.

— Na czym polega metoda, jaką wypracowali sobie państwo przy tworzeniu planu zagospodarowania tych dwóch powiatów?

— Polega ona na właściwej koordynacji wszystkich czynników. A więc: dokładnie rozpoznanych warunków naturalnych — geograficznych, możliwości rolnictwa i przemysłu (nie-dobór, lub nadmiar rąk do pracy), tradycji miejscowych, ciężenia okolicznej ludności w kierunku pewnych większych osiedli, możliwości rozwiązania problemów usług, komunikacji, elektryfikacji itp.

— To rzeczywiście praca ogromna i naprawdę wszechstronna.

— Stąd w naszych zespolach oprócz architektów także rolnik, geograf, ekonomista itd.

— Czy praca nad planem opierała się na danych statystycznych?

— O, nie! W naszym wypadku dane statystyczne były zupełnie nieprzydatne. Musieliśmy się oprzeć na absolutnie dokładnych bezpośrednich danych, wiele problemów nie da się ująć w statystykę. Poza tym musieliśmy

znać bardzo dokładnie rozmieszczenie zabudowań na danym terenie, a mapy dotychczas używane są już właściwie nieaktualne. Posługiwaliśmy się więc zdjęciami lotniczymi, czasami braliśmy po prostu plecaki i wędrowaliśmy po obu powiatach, najczęściej na piechotę, bo komunikacja jest tam fatalna. Dzięki temu udało nam się stworzyć niezwykle wierną aktualną mapę, co oczywiście pozwoliło nam realnie planować na przyszłość.

— A skąd zrodziła się konieczność stworzenia właśnie takiego planu zagospodarowania przestrzennego?

— Specyficzne warunki gospodarcze występujące w południowo-wschodniej części województwa lubelskiego (powiaty hrubieszowski i tomaszowski) spowodowały konieczność wykonania takiego opracowania, które dałoby wytyczne dla właściwej polityki inwestycyjnej i lokalizacyjnej. Oczywiście powinna ona zmierzać do wykorzystania wszystkich warunków naturalnych pozwalających na prawidłowy rozwój różnego rodzaju gospodarstw rolnych, no i powinna doprowadzić do wyrównania poważnych dysproporcji, jakie zachodzą między warunkami bytowymi miejscowej ludności a warunkami mieszkańców innych powiatów w województwie lubelskim. Dysproporcja

(Dokończenie na str. 4)



# LEKARZ ANTROPOLOG ARCHEOLOG

KAZIMIERA GAWARECKA

Wśród lekarzy lubelskich, działających w wieku XIX, było sporo osób, które obok swego zawodu chlubnie zaznaczyły się na polu literatury, sztuki lub innej gałęzi nauki. Obok społeczników, jakimi byli doktorzy Szejn, Wasilkowski, później Arnsztajn, wysuwają się nazwiska Gustawa Dołińskiego — literata i pedagoga, Mieczysława Biernackiego — świetnego diagnosty i wszechstronnie uzdolnionego człowieka. Do nich też należy Władysław Olechnowicz. Dr M. Biernacki, we wspominaniach swoich o pobycie Sienkiewicza w Lublinie, zainteresowuje nas postacią dr Olechnowicza. Henryk Sienkiewicz przybył do Lublina w r. 1892, wezwany telegraficznie do swego ciężko chorego ojca. Chorem opiekował się dr Olechnowicz, a do pomocy w leczeniu zaprosił M. Biernackiego. Sienkiewicz chętnie przebywał w towarzystwie obu lekarzy, prowadząc z nimi długie rozmowy. Ojciec pisarza wyzdrowiał. Dr Biernacki mniema, że Sienkiewicz uwiecznił postać Olechnowicza w doktorze Wasowskim w „Rodzinie Połanieckich”.

Kim był Olechnowicz? Urodził się w guberni kijowskiej, w 1848 r., w miasteczku Olszanka, powiatu zwinięradzkiego, z ojca Franciszka, też lekarza, i matki Pauliny z Jarzewiczów. Gimnazjum ukończył w Białej Cerkwi, a medycynę z odznaczeniem na Uni-

wersytecie Warszawskim, w 1871 roku. Od r. 1872 do 1886 był wolnopraktykującym lekarzem w powiecie puławskim. W okolicy Nalęczewa posiadał nieduży majątek po ojcu. W tym czasie kilkakrotnie wyjeżdżał za granicę. Dłuższy pobyt w Indiach przedgangesowych, tej kolebce cywilizacji starego ładu, był w jego życiu okresem przełomowym, pod wpływem którego ogłosił pracę „Esquisse d'une histoire de la civilisation de l'humanité d'après la méthode brahminique” (Paryż 1882). W pracy tej uprzedził wyniki badań uczonych zachodnioeuropejskich. W r. 1887 widzimy go jako dyrektora Zakładu Zdrojowo-Kąpielowego na Sławiaku, a od 1890 r. jest prywatnym ordynatorem oddz. umysłowo-chorych przy szpitalu Wincen-tego à Paulo w Lublinie. W r. 1894 zostaje nadetatowym ordynatorem tegoż oddziału, a w 1901 awansował na starszego ordynatora. Zły stan zdrowia był przyczyną, że zwolnił się od obowiązków starszego ordynatora już w 1904 r., pozostawiając jednak nadal nadetatowym. Lecznica dla umysłowo i nerwowo chorych, którą utworzył w r. 1897 we własnym domu przy ulicy Czechowskiej nr 342a (dziś 3 Maja 9), była pierwszym zakładem leczniczym w Lublinie. Cieszyła się bardzo dobrą opinią i tak się rozwijała, że W. Olechnowicz przeniósł ją do Krasnego Dworu pod Warszawą, do własnej posiadłości, dokąd i sam podążył. Od r. 1915 kierownictwo lecznicy oddał w ręce młodszych. Zmarł w r. 1918.

Po przyjeździe do Lublina w r. 1886 Władysław Olechnowicz został czynnym członkiem Towarzystwa Lekarskiego. Lubelskie Towarzystwo Lekarskie przez swą działalność naukową i społeczną szczerze się zapisało w dziejach medycyny. Olechnowicz był kilkakrotnie wiceprzewodniczącym T-wa, miewał odczyty naukowe i publiczne-popularne, na posiedzeniach demonstrował choroby, omawiając różne przypadki chorób. W szpitalu i w lecznicy niósł pomoc nerwowo i umysłowo chorym, wielu chorych zawdzięczało mu wyzdrowienie. Ratował zdrowie i życie tam, gdzie inni wahałi.

Oprócz medycyny studiował archeologię i antropologię. Od r. 1893 był członkiem Oddziału Antropologicznego Cesarskiego T-wa Miłośników Przyrody. Był całkowicie pod wpływem an-

tropologii francuskiej. Według opinii prof. Czekanowskiego, pierwszy w Polsce propagował teorię celto-słowiańską; umiał poprawnie kojarzyć składniki antropologiczne ze zróżnicowaniem etnicznym. Zasadnicza, teza Olechnowicza głosi: „Nie ma ras czystych. Najbardziej jednolite narody są mieszaniną ras bardzo odmiennych”.

Badania nad typem antropologicznym guberni lubelskiej przedstawił w następujących pracach:

1. „Charakterystyka antropologiczna ludności guberni lubelskiej” — „Prace antropologiczne Akademii Umiejętności”, Kraków 1893.
2. „Kilka słów o typie polskim, a o lubelskim w szczególności” — „Wisła” 1902.
3. „Szlachta i włościanie. Przyczynki do charakterystyki antropologicznej guberni lubelskiej” (odczyt na uroczystym posiedzeniu T-wa Lekarskiego dn. 4 lipca 1892 r.).
4. „Mieszczanie i mieszczańki — przyczynek do charakterystyki guberni lubelskiej” — „Wisła” 1893.
5. „Instrukcja dla robiących spostrzeżenia na osobach żywych według metody Tropinanda”.

W dziedzinie archeologii położył W. Olechnowicz zasługi w badaniach nad Lubelszczyzną, czyniąc poszukiwania w powiecie lubelskim, puławskim, chełmskim i hrubieszowskim. Odkrył ślady cmentarzyska kultury pomorskiej we wsi Staw w powiecie chełmskim, prowadził badania w powiecie lubelskim — w Ponikwodziu, Zemborzycach i na Piaskach w Lublinie. Będąc archeologicznie prowadził również razem z Hieronimem Łopacińskim.

Oto jego prace archeologiczne:

1. „Narzędzia kamienne w okolicy Chodła, w powiecie lubelskim” — „Światowid” 1900.
2. „Cześć światła w dziejach prehistorycznych lubelskich” — Księga zbiorowa „Dla sierot”, Lublin 1897.
3. „Poszukiwania archeologiczne w guberni lubelskiej” — „Materiały archeologiczne i etnograficzne Akademii Umiejętności”, Kraków 1897.

Wśród lekarzy lubelskich Władysław Olechnowicz był postacią szczególnie interesującą, nie tylko przez swój głęboki umysł i rozległą wiedzę, ale i przez swą postawę społeczną.

## Problemy trudności osiągnięcia

Muzeum Ziemi Lubuskiej. Ziemia Lubuska ma bogatą tradycję historyczną, jak mało który region Lubuszczyzny. Ma także tradycję literacką, od Bier-nata z Lublina (był w Łukowie urzędnikiem) aż do Sienkiewicza L. Heleny Mniszkówny.

Aby te tradycje wydobyc i upowszechnić, zrodziła się w kręgach Stowarzyszenia Miłośników Ziemi Lubuskiej myśl zorganizowania regionalnego muzeum. Myśl tę poparła Powiatowa Rada Narodowa stutysięczną sumą złotych na bieżące tegoroczne potrzeby muzeum w roku 1969, zwłaszcza na zakup eksponatów, a na rok 1961 przyznała dalsze 200 tys. złotych. Gorzej jest na razie z lokalem. Zbierane eksponaty mieszczą się na razie w domu pracownika muzeum Longina Kowalczyka, w przyszłości zaś muzeum będzie umieszczone w obecnej siedzibie łukowskiego szpitala.

O problem lokalu i pomieszczeń może rozbić się wiele spraw. Ale ważny jest ogromny zapal ludzi ze Stowarzyszenia oraz władz powiatowych i partyjnych dla tej sprawy, ich opieka i poważna pomoc finansowa.

Przedstawiciele tych instytucji tworzą wspólną komisję maturalną, która omawia bieżące sprawy. Komisja ściśle współpracuje z Muzeum Lubuskim, a wszystkie zakupy są konsultowane z jego pracownikami. W muzeum przewidziano następujące działy: historyczno-estetyczny, kultury ludowej i małą galerię malarstwa. Najlepiej przedstawia się sytuacja w dziale etnograficznym, gdyż wyprawą na wieś prowadzone przy pomocy mgr Janusza Opatowicza z Muzeum Lubuskiego dają ładne rezultaty. Gorzej przedstawia się dział historyczny, którego kompletowanie przychodzi z wielkim trudem. Organizatorzy mają jednak nadzieję, że przy odpowiedniej propagandzie i ta sprawa będzie pomyślnie przeprowadzona.

Ludziom ze Stowarzyszenia, takim jak doktor Kaszubski, radca Klimecki czy L. Kowalczyk, nie brak ofiarności i dobrej woli. Mają nadzieję, nie bez podstaw, że Muzeum Ziemi Lubuskiej będzie świetnie dokumentowało tradycje tej ziemi, że stanie się ośrodkiem wiedzy o niej, że stanie się regionalną placówką naukową. Ściśta współpraca i pomoc Muzeum Lubuskiego pozwala przypuszczać, że te nadzieje zostaną spełnione.

T. K.

## LAURKA DLA PDK

ROMUALD KARAS

Szeroko słynął niegdyś Bilgoraj szermiosłem sitarskim — ale o tym nie zamierzam pisać. Nie poruszę także problemu produkcji włosianki, która stanowi podstawę utrzymania wielu ludzi w tym mieście. Nie zajmę się także Józefem Pieczonką, kanadyjskim obywatelem spod Bilgoraja rodem, wspomagającym swoją wioskę Lipiny tak hojnymi darami jak 250 tysięcy dolarów przeznaczonych na budowę ośrodka zdrowia, czy 900 tysięcy złotych na budowę szkoły. Każdy z tych tematów na pewno jest ciekawy, jednak mnie idzie o coś zgoła innego.

Bilet do kina był o złotówkę droższy niż w innych powiatowych miastach. Zapytałem kasjera: dlaczego? Odpowiedział mi pytaniem: „Coś pan nie z Bilgoraja?” Popatrzyłem na innych miłośników filmu. Wszyscy bez szemrania płacili tyle co ja.

Rozpoczęła się kronika filmowa, a z nią pierwsza niespodzianka. Wyświetlano temat dosyć zaskakujący dla nieorientowanego bliżej reportera: „Frampolskie kilimy”. Ujęcia operatorów D. Błaszczki i B. Koziry niczym szczególnym nie różniły się od dalszych części kroniki filmowej, już nie bilgorajskiej. Tajemnica złotówki tkwiła w tym, że w Powiatowym Domu Kultury w Bilgoraju pracuje zespół fotograficzny. Składa się on z działu przeszkolonych amatorów fotografów, z tych, którzy się jeszcze szkolą i z zespołu filmowego. Ten ma trzy grupy realizatorskie oraz laboratoryjną. Jak pracuje, o tym świadczą udane kroniki wyświetlane ku zadowoleniu społeczeństwa we wszystkich kinach powiatu bilgorajskiego. Widz płaci za nie tę zrazu zagadkową dla mnie złotówkę.

Tematem dla filmowców z PDK jest region. Pokazują jego piękno, zabytki, pracę mieszkańców, ważniejsze wydarzenia. Wspomniłmy choćby niektóre tylko tytuły: „Nowa szkoła”, „Tarnogrodzkie sery”, „Ciuchcia”, „Bilgoraj”, „Roztocze”, „Czy tak być powinno?” — rzecz o przedszkolu, które wraz z korytarzami i ubikacjami zajmuje 132 m<sup>2</sup>, a uczęszcza do niego 120 dzieci...

Trafiliem na wystawę prac radioklubu PDK, działającego wspólnie z LPZ-em. Ileż ciekawych urządzeń wykonali jego członkowie (jest ich pięćdziesięciu)! Mały nadajnik działający w promieniu 1 km, wzmacniacz do odtwarzania muzyki, klucz elektronowy, odbiornik tranzystorowy wmontowany fantazyjnie w małą mydliczkę, magnetofon bateryjny typu reporterskiego itp., itp. Do tego dochodzą prace przy radiostacji SP-8 KDF i jej obsługa, uwieczniona dziesiątkami uzyskanych połączeń z krótkofalowcami przeróżnych państw świata. Żeby mieć takie wyniki, członkowie radioklubu muszą przeczytać niejedną pozycję z literatury technicznej, muszą solidnie obmyślać każdy realizowany pomysł, muszą przy jego wykonaniu dobrze się napracować. Robią to wszystko z pasją, z oragnieciem poznania nie znanych sobie dziedzin radiotechniki. Spośród tych entuzjastów nie sposób pominąć Jerzego Sykuly, Bożysława Pańkiewskiego, Zbigniewa Koguta.

Zespół plastyczny przeszedł charakterystyczną ewolucję. Z początku starano się uczyć jego członków rozumienia malarstwa, grafiki, rzeźby. To jednak niezbyt chwytano. Trudno powiedzieć ściśle dlaczego, choć starano się to wytłumaczyć. W końcu stwierdzono: ludziom chodzi najbardziej o przygotowanie plastyczne na codzień. Wprowadzono więc w sekcji dział wyrobów wikliniarskich, dział lalkarski i dział zabawkarski. Wiadomości ogólne z plastyki są podawane także, ale nie stanowią głównego trzonu pracy zespołu, który przez wprowadzenie nauki konkretnych umiejętności zdobył duże zainteresowanie wśród mieszkańców Bilgoraja. Niemala w tym zasługa instruktorki — Wandy Złotkiewicz.

W PDK żywa działalność rozwijają dwie modelarnie: lotnicza, znajdująca się pod opieką Aeroklubu Świdnik, i szkatliczna. Kierują nimi najlepsi fachowcy w powiecie: pierwszą — instruktor Zenon Pawłowski, drugą — Jerzy Futymski. Modelarnie te znakomicie rozwijają umiejęt-

ność techniczne młodzieży. O poziomie pracy może świadczyć choćby taki fakt, że modelarnie są w stanie zaopatrzyć w ciągu kilku miesięcy wszystkie szkoły w powiecie w potrzebne do prowadzenia prac ręcznych prefabrykaty, których brak odczuwa się dotkliwie w składnicach harcerskich. Instruktorzy mogą także przeszkolić nauczycieli w zakresie modelarstwa lotniczego i szkatlicznego.

Przez trzy lata raz w miesiącu odbywały się w PDK koncerty Filharmonii Lubuskiej. Ostatnio, wskutek „niedogadania się” w sprawie programów, frekwencja publiczności znającej się na muzyce poważnie się obniżyła, toteż trzeba było zrezygnować z urządzania koncertów. W pracy kulturalnej powstała luka, którą należało koniecznie zapełnić czymś kształcącym. Zdecydowano się na projekcje filmów oświatowych, które odbywają się w każdy poniedziałek. Cieszą się one dużym zainteresowaniem miejscowego społeczeństwa. Ludzi ciekawi zarówno sztuka aktorska Dymytry, Zelwerowicza, Sempolińskiego, jak też reportaży z ZOO, wiadomości o malarstwie polskim, historia powstania tańca, świat podwodny, życie w Wenezueli, czy pamiętnik pana na Łanucie...

Przez trzy lata przy PDK istniało studium kulturalno-oświatowe, w którym wielu nauczycieli z powiatu zdobyło podstawowe kwalifikacje w zakresie muzyki (nauka gry na skrzypcach, mandolinie i instrumentach dętych), a także zapoznano się z tajnikami fotografii... To studium przerodziło się w ognisko muzyczne z działami pianina i akordeonu. Kieruje nim Czesław Fornal, uczy muzyki: Maria Żołądowska i Stefan Janiszewski. W studium organizacji jest zespół rytmiczny i dziecięcy zespół teatralny.

Nie sposób omówić wszystkich prac bilgorajskiego PDK. Wspomniłmy tylko przykładowo, że szeroko rozbudowany jest dział poradnictwa dla terenu. Instruktorzy wyjeżdżają do miasteczek i wsi, aby pomagać w pracy zespołom kulturalnym i oświatowym. Wydawany jest specjalny biuletyn sugerujący różne formy pracy, np. urządzanie obchodów rocznic wybitnych twórców nauki, podający spis sztuk teatralnych dla

zespołów amatorskich itp., itp. Organizowane są także wycieczki do PDK oraz kursy dla pracowników kultury. Dla mieszkańców Bilgoraja Dom Kultury jest placówką, z którą stykają się na codzień. Filmy, odczyty, bezalkoholowe wieczorki taneczne, sekcja szachowa i brydża sportowego, nauka języków obcych, telewizor — ściągają stale setki ludzi.

Dużym uznaniem cieszą się spektakle zespołu teatralnego (reżyser — Halina Prochowska, scenograf — Edward Szubiak). Odbywają się dwie premiery rocznie. Grono m. in. sztuki: „Moja żona Penelopa”, „Przyjaciel nadejście wieczorem”, „Zemsta”. Scenografia E. Szubiaka do „Zemsty” uzyskała II nagrodę w ogólnopolskim konkursie dla amatorskich zespołów artystycznych.

Ktoś może powiedzieć: „Ale ile kosztuje ta działalność PDK w Bilgoraju!” Odpowiedź jest celną kontrą — bilgorajski PDK osiągałby najlepsze wyniki w pracy wśród domów kultury w naszym województwie, otrzymuje najmniejsze dotacje. Ma natomiast największe dochody własne z imprez, czynszów, zabaw, koncertów, lekcji. Sięgają one połowy dochodów wszystkich domów kultury pracujących na Lubuszczyźnie.

Reportaż wypadł trochę laurkowo. Ale taki być musiał. Wymowa faktów świadczyła o jednym — w bilgorajskim PDK pracuje pod kierunkiem Edwarda Szubiaka grono osób rozumiejących potrzeby kulturalne terenu, grono świetnie radzące sobie w działalności oświatowo-kulturalnej. Warunkuje to, przy entuzjastycznym, ale wysoce rozsądnym, planowym podejściu do różnych form pracy, wymienione sukcesy. Dostrzegalne są one nie tylko dla reportera. Oto krótki, ale wymowny cytat: „Sejmowa Komisja Oświaty i Sejmowa Komisja Kultury, dziękując Wam za dotychczasową pracę, podkreślić pragnie celowość Waszej działalności kulturalnej”.

Tajemnica powodzenia tkwi w tym, że PDK nie trzyma się kurczowo pewnych stałych form pracy, lecz stosuje wciąż nowe, najbardziej odpowiadające społeczeństwu.



# Narodziny drukarstwa i prasy na Lubelszczyźnie\*

ROMAN ROSIAK

o poziom druków i nastawienie się wydawców na rentowność. Przez 250 lat utrzymywały się te same narzędzia pracy, a więc: metalowe czcionki, blacha do odbijania rycin oraz prasy, inaczej mówiąc dwie deski, między które wkładało się ułożone w ramach czcionki i skręcało na śrubę (do XVII wieku śruba była drewniana, później metalowa).

AWANS  
DRUKARSTWA LUBELSKIEGO

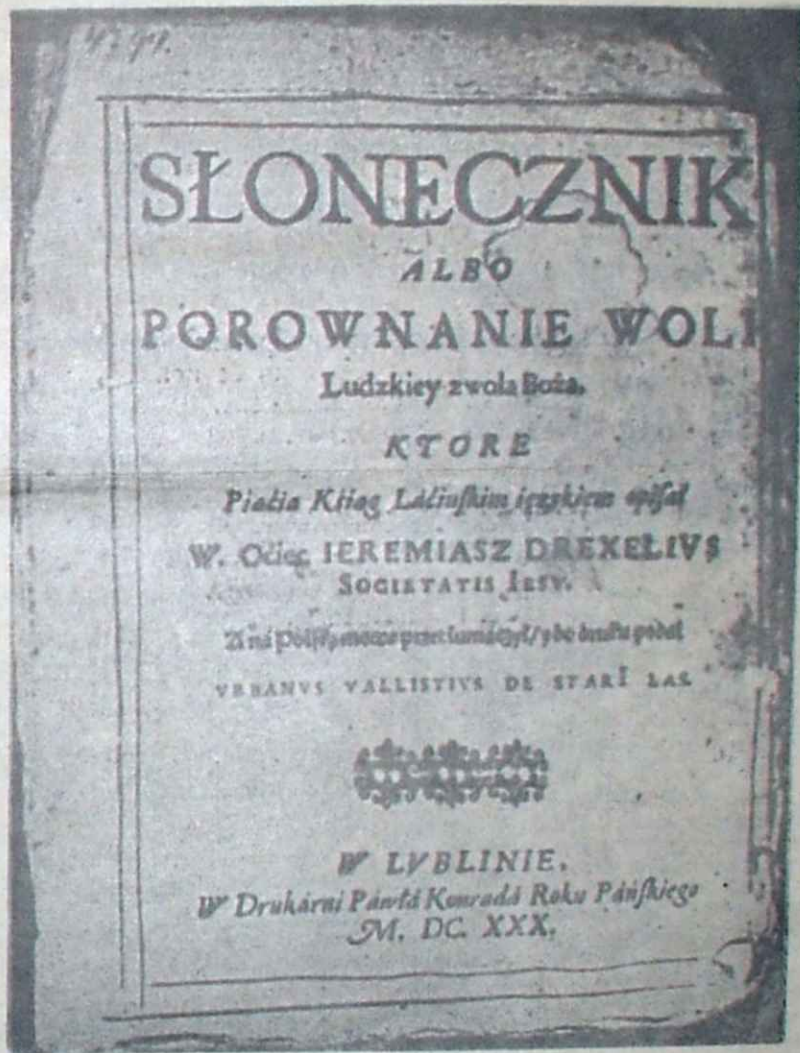
Kiedy w drukarstwie zaczęła się rewolucja, którą zapoczątkowało w 1811 roku wynalezienie tyglówki, potem maszyny płaskiej, Lublin liczył tylko 7 tysięcy mieszkańców i drukarstwo reprezentowało tu bardzo skromny poziom. Jednakże w XIX wieku nastąpiło nasze zaczyna wracać systematycznie do dawnej świetności. Zaczyna się też powolna, żmudna droga drukarstwa, które dopiero w XX w. a właściwie w ostatnich latach, osiąga poziom, o jakim nie mogło dotąd nawet marzyć. I ten wielki awans drukarstwa lubelskiego, wkraczającego dziś w piąty wiek swej chlubnej służby dla dobra społeczeństwa — to prawdziwy powód do dumy i zadowolenia z dobrze wypełnionych obowiązków.

nych w całej Polsce kalendarzy, i wielu innych edytorów.

W LUBLINIE

W samym Lublinie drukarstwo polskie bierze początek ok. roku 1600. Spotykamy wprawdzie nazwiska Karcana, Smieszkowicza i Więcmorowskiego na przełomie XVI i XVII wieku, ale nie dochowały się żadne ich dzieła, nie ma dowodów, które autorytatywnie pozwoliłyby ich uznać za prekursorów rodzimego drukarstwa w naszym mieście. Dotychczas zatem za najstarszy druk polski w Lublinie trzeba uznać „Przypowieści polskie” Salomona Rysińskiego, które wydał w roku 1629 Wirowski. Z tego też roku pochodzi inny druk lubelski, mianowicie książka Bartosza Paprockiego — „Dziesięcioro przykazań mężow”. Z druków, które znajdują się w Bibliotece im. H. Łopacińskiego w Lublinie, trzeba jeszcze wymienić „Słonecznik albo porównanie woli ludzkiej z wola Bożą”, wydany przez Pawła Konrada w roku 1630.

Paweł Konrad jest też pierwszym drukarzem lubelskim, o którym mamy już nieco informacji, chociaż prowadził zakład bardzo krótko, zaledwie 7 lat (1630—1636). Po jego śmierci aż do roku 1649 prowadziła drukarnię wdowa, przy czym tłoczyła głównie panegiriki i kazania pogrzebowe.



Karta tytułowa druku P. Konrada z r. 1630.

papiernia Hallerów płaciła nieco więcej niż ćwierć tego czynszu, jaki płaciła fabryka lubelska.

Słowo „fabryka” w odniesieniu do zakładu założonego w naszym mieście ma swoje pełne uzasadnienie. Opis jej bowiem z roku 1566 informuje nas, że składała się ona z „wielkiego budynku murowanego z izbami dużymi i średnimi na parterze i na trzech piętrach, z syplalniami, z komorami dostatecznymi i wygodnymi, następnie z drugiego budynku otoczonego murem, z warzelnią, klejarnią, płuczarnią, z murowanym sklepem”. Istniało jeszcze szereg budynków drewnianych, w których znalazły pomieszczenie wszystkie pozostałe urządzenia do produkcji papieru. Jak podaje opis — budynki były nowe, mocne, solidnie zbudowane, pokryte dachówką i otoczone parkanem. Wśród narzędzi spotykamy natomiast 4 koła (żadna polska papiernia nie miała ich więcej), walce z kłami, które służyły do darcia szmat, jest też mowa o 100 walach okutych żelazem, o linach, naczyniach itd.

„BIAŁE KRUKI”

Mając tak mocne zaplecze, jakie stanowiły: miejscowa papiernia i systematyczny rozwój miasta — drukarstwo lubelskie mogło — przynajmniej na to wskazywały warunki — szybko dogonić Kraków. Do tego jednak nie doszło, a przyczyna tego faktu jest bardzo prosta: zabrakło dobrych fachowców. Przez kilkadziesiąt lat, wskutek słabości mieszczaństwa — drukarstwo spoczywało wyłącznie w rękach Żydów, a ci nie martwili się specjalnie o jakość tłoczonych ksiąg. Przeważnie były to zresztą modlitewniki i książki o tematyce religijnej, stąd też do naszych czasów dochowała się bardzo niska ilość tych druków. Do takich „białych kruków” należą niewątpliwie dwie pozycje z końca XVI wieku, mianowicie:

1. Jaffe Mordechaj, Beiueri Sare. Lublin, Kalonimos syn Mordechaja Jaffa (1594).

2. Jaffe Mordechaj, Sefer L'wusz Pinat Jekarot. Lublin, Kalonimos syn Mordechaja Jaffe (1595).

W pierwszej połowie XVII wieku istniały w Lublinie dwie drukarnie żydowskie. Jedną z nich została zamknięta około roku 1630, druga zaś — po pożarze dzielnicy żydowskiej, przesładowaniach i kataklizmach wojennych, przestała istnieć w roku 1692. Po tych klęskach drukarstwo żydowskie podniosło się dopiero po przeszło stu latach — w roku 1790, na mocy przywileju króla Stanisława Augusta.

DRUKARNIA ZAMOJSKA

Jeśli chodzi o drukarstwo polskie, sprawa jest bardzo skomplikowana, ponieważ brakuje dotychczas materiałów, które pozwoliłyby dokładnie zlokalizować w czasie i przestrzeni początki rodzimego drukarstwa na Lubelszczyźnie. Zbyt skąpe są wiadomości o starych pochodzących jeszcze z XVI wieku drukarniach w Urzędowie, Piaskach, Tomaszowie, Lubartowie i innych miastach. Pewne są natomiast informacje o Zamościu, w którym narodziły się sztuki drukarskiej przypadają na rok 1593. Tu właśnie, przy Akademii, Kanclerz Zamojski założył drukarnię, która miała za zadanie zaspokajać potrzeby Almae Matris. Pierwszym drukarzem zamojskim był Marcin Łęski (Martinus Lensicxus), który z miejsca postawił zakład na bardzo wysokim poziomie. Stąd też sława drukarni przetrwała długie lata, a nazwa Zamość niejednokrotnie pojawiać się będzie na drukach, które — obok krakowskich — zaliczamy do najcenniejszych wydanych. Najstarszym drukiem zamojskim jest starannie wykonana książka: A. D. Aurelli Augustini Hipponensis Episcopi de Gramatica pro elementaris Hippel Samoscani. Samoscii 1593.

W ciągu dwu wieków wytłoczono w Zamościu ponad 800 książek i broszur, co najwyższą świadczą o bardzo wysokim poziomie naukowym samej Akademii i zarazem jest chlubnym świadectwem działalności drukarni. Poza Łęskim trzeba wymienić jeszcze nazwiska kilku pierwszych i zasłużonych drukarzy zamojskich. Byli to mianowicie: Krzysztof Wolbromczyk, Szymon Nizolius, Andrzej Łob, Andrzej Jastrzębski, Wilhelm Feliks Sulajewski, Paweł Radicius, Sebastian Wierchowicki, Szymon Prątkiewicz, Jan Jarmużewski, Bartłomiej Brzeziński, Stanisław Niewieski, autor słyn-

CZĘSTO, może nawet zbyt często, wszelkiego rodzaju rocznice stają się jedyną okazją, by coś czy kogoś wydobyc z pyłu zapomnienia i pokazać społeczeństwu. Tak też niewątpliwie jest z dziejami prasy i drukarstwa Ziemi Lubelskiej. Wystarczy powiedzieć, że historii sztuki drukarskiej naszego regionu została poświęcona dotychczas tylko jedna większa praca — dr Pawła Gduła z r. 1957. Liczy ona 70 stron, lecz niestety zawiera zbyt wiele błędów i luk, by można ją było traktować jako rzetelne źródło wiedzy. Jeszcze gorzej jest z prasą, która doczekała się w roku 1890 skromnej, 14-stronicowej rozprawki Hieronima Łopacińskiego. I to już wszystko. Dopiero Sesja Jubileuszowa 300-lecia prasy polskiej otwiera szersze perspektywy przed badaniami w tej dziedzinie i na tym m. in. polega jej znaczenie. Niewątpliwie bowiem trzeba bezwzględnie podjąć starania, by Lubelszczyzna mogła zaprezentować swoje wielowiekowe tradycje drukarstwa i dziennikarstwa.

PRZYWILEJ KRÓLEWSKI

Pierwsze miejsce należy do drukarstwa, gdyż dopiero jego istnienie i rozwój gwarantowały narodziny prasy. Warto to uczynić tym bardziej, że interesy prasy i drukarstwa zaczęły się od początku. A przy tym w grę wchodzi jeszcze jeden wzgląd: dwa lata temu prawie niepostrzeżenie minęło 400 lat od chwili nadania pierwszemu drukarzowi w naszym mieście przywileju królewskiego, na mocy którego mógł rozpocząć legalnie tłoczenie książek. W 1559 Józef ben Jakob i Izaak ben Chaïm, którzy już wprawdzie założyli zakład w 1554 r. i wytłoczyli na nim modlitewnik hebrajski — dzięki przywilejowi wpisali Lublin na listę miast, do których dotarła sztuka drukarska. Ze miasto nasze nie znalazło się na szarym końcu, lecz wprost przeciwnie — w czołówce, najlepiej świadczą o tym daty powstania drukarni w innych miastach Polski. Poza Krakowem, gdzie na ślad pierwszej drukarni można natrafić już w roku 1473 oraz Gdańskiem (1499), znajdziemy zaledwie kilka miast, które minimalnie wyprzedziły Lublin. Do Poznania zawitało drukarstwo w r. 1539, do Torunia w 1569 (a więc 15 lat później niż do naszego miasta), do Warszawy w roku 1578, do Kalisza w 1603, do Grodna w 1716, do Piotrkowa w 1774, do Radomia w 1811, do Kiele w 1818 itd.

Tłocznia Józefa ben Jakoba i Izaaka ben Chaïma była nie tylko pierwszą w Lublinie, ale jednocześnie pierwszą w Polsce drukarnią żydowską, stąd jej poważne znaczenie w historii sztuki drukarskiej. Poza wymienionymi, do pionierów należy zaliczyć jeszcze następnych drukarzy lubelskich żydowskiego pochodzenia: Kalonimus ben Mordechaj Japhe (drukował w 1562 r. księgę modlitw w obrządku Żydów polskich i ruskich), R. Josua Bar Izrael z Austrii, Abraham Kalonimowicz Japhe, Zwi Abrahamowicz Kalonimus i inni.

PAPIERNIA

Rozwój drukarstwa, a następnie prasy w naszym mieście wiązał się jak najściślej z jego awansem na centralny ośrodek polityczny i handlowy we wschodniej Polsce. W XVI w. Lublin liczył już 40.000 mieszkańców i w szybkim tempie rozbudowywał swój przemysł, prawdziwą zaś jego ozdobą była bez wątpienia papiernia, którą na mocy przywileju króla Zygmunta I założył Jan Fajfer już w 1532 r. Zbudowana ona została za Zamkiem nad Bystrzycą znacznym kosztem, czego niezbitym dowodem jest zapisanie papiernikowi przez króla 100 zlp. W 1564 posiadł papiernię już zięć jej założyciela, Tomasz Wąs, który po pożarze fabryki odbudował ją kosztem 2200 zlp. Płacił z niej natomiast na Zamek lubelski 20 grzywien i 4 rzyzy czystego papieru rocznie tytułem należnego właścicielowi gruntów czynszu.

Już tylko w oparciu o wysokość czynszu należy bezwarunkowo uznać papiernię lubelską za największy tego typu obiekt w Polsce i jedną z największych wówczas w Europie. Jest to fakt bardzo znamienity, ponieważ centralnym ośrodkiem papierniczym był Kraków. Tu właśnie na Prądniku Duchackim już w 1496 roku powstała pierwsza polska papiernia, tu też w szybkim tempie na przestrzeni XVI wieku liczba zakładów powiększyła się do 10. A przecież jednak słynna

\* Jest to pierwszy z cyklu artykułów dr R. Rosiaka pt. „Z dziejów prasy lubelskiej”.

KALENDARZE

Z dziejami drukarstwa — jak już była mowa na wstępie — jak już najściślej łączy się historia czasopiśmiennictwa lubelskiego. Jeśli wyjdziemy od przypomnienia daty narodzin prasy polskiej, tj. od 3 stycznia 1661 r., kiedy ukazał się pierwszy numer „Mercuriusza Polskiego Ordynaryjnego”, mimowolnie będziemy musieli starać się o szybką odpowiedź na pytanie, w jaki czas po tym wydarzeniu datuje się początek prasy lubelskiej. Zagadnienie to nie jest wcale takie proste, bo wprawdzie łatwo stwierdzić tylko jedno, że już na blisko 100 lat przed narodzinami „Mercuriusza” Lublin miał swoje pismo, w roku bowiem 1587 ukazały się „Nowiny Lubelskie”, zarejestrowane przez Karola Estreichera w jego „Bibliografie polskiej”, nie dochowały się one jednak do dzisiejszych czasów. A szkoda — był to najprawdopodobniej najstarszy druk polski w Lublinie (wydany 64 lata wcześniej od słynnego „Słonecznika”). Oczywiście, trudno tu było mówić jeszcze o czasopiśmie i należy traktować „Nowiny”

(Dokończenie na str. 11)



# W OPARCIU O REALNE PRZESŁANKI

(Dokończenie ze str. 1)

powstała wskutek zniszczeń wojennych i działalności terrorystycznej band UPA, zmiany granic państwowych, ruchów ludnościowych, braku podstawowych usług, a także niedostatku i niewłaściwego układu sieci komunikacyjnej, utrudniającego nie tylko dostateczne zaopatrzenie ludności, ale także zbyt produktów rolnych itp. To wszystko spowodowało na ziemiach hrubieszowskich i tomaszowskich ogromny chaos w układzie sieci osiedleńczej. W wielu wypadkach, zamiast dużych, zwartych grup domów mieszkalnych, ciągną się kilometrami poszczególne zabudowania, poważnie oddalone jedne od drugich. W takich warunkach trudno mówić o zapewnieniu wszystkim mieszkańcom elektryfikacji, twardych dróg i wszelkiego rodzaju usług, które zapewniają człowiekowi jakąś podstawową kulturę życia.

— Rzeczywiście problem nielatwy do rozwiązania. Z jednej strony do naczelnych zadań naszego państwa należy podniesienie poziomu życia obywateli, z drugiej zaś jesteśmy na tyle niezdolni, że na przykład ciągnięcie przewodów elektrycznych setkami kilometrów jakichś „zakosów”, bardzo nieprędko byłoby możliwe.

— No tak. Poza tym jest to jeszcze kwestia budowy szkół, ośrodków zdrowia, wodociągów, domów kultury, sal widowiskowych, domów towarowych itd., itd.

— I jak państwo z tego wszystkiego wybrnęli?

— Po prostu zaczęliśmy rozumować logicznie w oparciu o realne przesłanki. Wynikiem jest właśnie plan. Przede wszystkim należy bezwarunkowo, wykorzystując normalne ciśnienia ludności, stworzyć większe osiedla, zapewniając możliwe optymalne warunki bytowe ludności, a zlikwidować owe tasemce pojedynczych domków, do których nie wiadomo jak dotrzeć, i o których nie wiadomo nawet, do ja-

kiego ośrodka administracyjnego należą. Wybraliśmy więc szereg miejscowości (wybór ten ma bardzo szerokie i wszechstronne uzasadnienie, o którym trudno powiedzieć w kilku słowach). Są one przeznaczone właśnie na te stosunkowo duże ośrodki mieszkalne (od 2 tysięcy ludności wzwyż). Odtąd tylko w tych miejscowościach będzie można otrzymać pozwolenie na budowę domów, szkół itd. Nakłady inwestycyjne, jakie powiaty otrzymają, będą szły właśnie na rozbudowę i wyposażenie tych miejscowości, natomiast wprowadza się zakaz budowy wszędzie tam, gdzie w planach naszych przewiduje się pola uprawne.

— Niewątpliwie gospodarka według nakreślonych przez państwo planów zaprowadzi ogromne zmiany w życiu mieszkańców obu powiatów i na pewno podniesie je na wyższy poziom. Nie wiadomo tylko, czy spotka się ze zrozumieniem u wszystkich ludzi.

— O, na pewno znajdą się jakieś opory. Wieś, zwłaszcza zacięta, niełatwo przyjmuje zmiany, choćby one były na lepsze, już wprowadzone i wypróbowane w innych krajach.

— Czy plany państwa, a także metoda, jaką zostały wykonane, były już demonstrowane na jakimś szerszym forum?

— Oczywiście. Plan nasz był dwukrotnie eksponowany na Radzie Wzajemnej Pomocy Gospodarczej Krajów Socjalistycznych, w maju w Warszawie i w październiku w Sofii. Spotkał się z dużym uznaniem. Wiele z naszej metody przejęły niektóre kraje i swoje plany gospodarcze będą robiły według naszych sposobów.

— Jakże maie państwo projekty na przyszłość i nad czym pracujecie obecnie?

— Marzymy o stworzeniu takich planów zagospodarowania dla całego województwa, a obecnie opracowujemy plany dla sześciu powiatów leżących w rejonie kanału Wieprz-Krzna. Rozmowę prowadziła:

A. R.-T.

# NA STYKU PIĘCIOŁATEK

(Dokończenie ze str. 1)

stopniu zadowalającym, ale niewątpliwą nowością, nowością dzisiejszą jest upowszechnienie opieki nad kulturą. Rokuje ono na bliską już przyszłość głębokie przenikanie dóbr kulturalnych w teren wiejski.

Przepraszam za autoctytę, proceder ten jest zawsze uważany za trochę mauvais ton, ale przytoczyłam powyższy passus jako jeszcze jedną ilustrację truzizmu, że sformułowania woltarystyczne wyprzedzają zwykle w nierozsądnej mierze możliwości życiowe. Bo z tym „głębokim przenikaniem dóbr kulturalnych w teren wiejski” było przez szereg lat jeszcze całkiem źle. Dopiero od niedawna sprawa ruszyła z miejsca, przy czym okazało się, że w wielu wypadkach rady narodowe nie dają sobie rady w swoich gromadach i powiatach z uprzykrzoną „kulturą”. Inicjatywa kulturotwórcza przechodziła często w inne ręce. Ktoś mógłby powiedzieć, że ostatecznie wszystko jedno gdzie się ulokuje ognisko kultury, byle oświecało okolice w największym promieniu. Tak, ale chodzi przede o koordynację, o planowanie, bez których kultura jest zdana na partyzantkę, a koordynacja i planowanie w samym założeniu ustawowym i zgodne z najbardziej logicznym rozumowaniem — należą właśnie do kompetencji rad narodowych na wszystkich szczeblach.

Nurtowani tymi wątpliwościami, zwróciłam się do przewodniczącego PWRN, posła na Sejm mgr. Pawła Dąbka z zapytaniem o obecny stan rzeczy zwłaszcza w gromadach. Z rozmowy z przewodniczącym można było wywnioskować, że sytuacja kulturalna na wsi uległa w ubiegłym roku dostatecznej poprawie. Oczywiście inicjatywy społecznej na odcinku wiejskim województwa lubelskiego przejął się już w budowę licznych świetlic i szkół, choć nie zawsze jeszcze takie poczynania, jak np. tworzenie tu

czy ówdsze zespołów artystycznych, są ujęte w lożyisko kompetencji rad gromadzkich.

W trakcie wywiadu z posłem P. Dąbkem łatwo było dostrzec, jak wielką wagę przywiązuje również do głośnego eksperymentu lubartowskiego, z jaką niecierpliwością śledzi wyraźniejsze przejawy słuszości założenia, że szkoła może się stać ważnym ośrodkiem szerzącym kulturę w swojej okolicy.

Oczywiście była także mowa o pomyslowej akcji pod hasłem „Wiedza pomaga w życiu”, zainicjowanej przez Ministerstwo Kultury i Sztuki oraz przez Centralną Radę Związków Zawodowych, w porozumieniu z instytucjami zainteresowanymi zagadnieniami czytelnictwa i samokształcenia. Tutaj niewątpliwie dużo mogą mieć do powiedzenia rady wojewódzkie i powiatowe, przy których powstają specjalne komisje mające na celu czuwanie nad przebiegiem Konkursu na upowszechnienie wiedzy.

W pokoju I sekretarza KM PZPR tow. M. Martyna rozmowa toczy się o projekcie nowego gmachu dla Teatru im. J. Osterwy. Bierze w niej udział także sekretarz Propagandy tow. E. Mysłowski. Teatr — a więc jestem w rodzimym żywiole z racji kilkunastoletniej współpracy literackiej z tą sceną. Atmosfera jest nieco naelektryzowana, ponieważ właśnie w przeddzień odbyło się rozstrzygnięcie II etapu Konkursu na projekt owego gmachu. W dyskusji zabierało głos wielu wybitnych specjalistów od spraw konstrukcyjnych, technologii, akustyki, urządzeń elektrycznych itd. Gdy otwarto koperty, okazało się, że autorem najlepszego projektu jest wybitny architekt warszawski Stanisław Bienkowski, projektant m.in. takich gmachów, jak Grand-Hotel w Warszawie i nie zrealizowany jeszcze gmach Opery w Katowicach.

Martwimy się wspólnie, że lubelscy laureaci I etapu konkursu zmarnowali piękną szansę rozpracowując swój projekt do II etapu nie dość starannie. Pocięta nas jednak fakt, iż projekt zwycięski będzie już niezwłocznie poddany ostatecznemu opracowaniu i władze miejskie dołożą wszelkich starań, aby budowa nowego gmachu teatralnego została rozpoczęta bezpośrednio po dostarczeniu niezbędnej dokumentacji.

W gabinecie przewodniczącego Prezydium MRN Edwarda Janiuka również mowa o teatrze. Temat ten pasjonuje nasze władze. Przewodniczący przypomina przy tej sposobności Uchwałę KERM z dn. 26.XI.1959 r., która zalicza Lublin do rzędu miast o charakterze ponadwojewódzkim. Punkt 1 tej uchwały brzmi dosłownie: „M. Lublin jest centrum gospodarczym, administracyjnym i usługowym swego województwa. W planie kierunkowym (do 1975 r.) przewiduje się ponadto jego rozwój jako ponadwojewódzkiego ośrodka nauki i kultury, przemysłu motoryzacyjnego oraz komunikacji i transportu”.

Rzecz jasna: takie miasto ponadwojewódzkie (5 wyższych uczelni) musi mieć nowoczesny gmach teatralny.

Drugą troską Prezydium Miejskiej Rady Narodowej jest budowa odpowiedniego gmachu dla Lubelskiego Domu Kultury, który, zajmując niedogodne zresztą dla niego pomieszczenia na Zamku, uniemożliwia z kolei właściwą ekspozycję bogatych kolekcji Muzeum Lubelskiego.

No i szkoły! Sprawa ta leży szczególnie w sercu przewodniczącemu E. Janiukowi, który jest oświatowcem z zawodu. Mówi on z całym uznaniem o społeczeństwie Lublina, którego ofiarność sprawiła to, że fundusz budowy szkół, zaplanowany na 8.650 tysięcy zł, wzrósł do 10.210 tysięcy, innymi słowy wykonanie planu stanowi aż 118%. Pod tym względem Lublin zajął w r. 1960 pierwsze miejsce w województwie.

Również na SFOS zebrano zamiast planowanych 3 mln — przeszło 5.300 tys. zł.

Wartość czynów społecznych w tym okresie wyniosła ok. 15 mln zł (podczas gdy w r. 1957 wynosiła zaledwie 1.700 tysięcy). Wybudowano kilometry dróg i tysiące m<sup>2</sup> chodników, zwłaszcza na peryferiach, dano tam zdrową wodę poprzez przyłączenie do ogólnej sieci wodociągowej, doprowadzono do należytego stanu Park na Podzamczu i szereg zieleni, wykończono Park Ludowy przy Al. Świerczewskiego. Mówiąc o akcji porządkowania miasta przewodniczący podkreśla społeczne ustosunkowanie się do niej komitetów blokowych, komitetów dzielnicowych Frontu Jedności Narodu i niektórych zakładów pracy.

Trudno nie zgodzić się z końcowym wnioskiem rozmowy, że swoją ofiarną postawą społeczeństwo Lublina zasłużyło we wszech miar na to, by władze centralne pomagały mu realizować w nowej 5-latce jego poczynania zmierzające do rozwoju materialnego i kulturalnego. Aspiracje te są szczególnie uzasadnione wobec zbliżającej się 650 rocznicy uzyskania przez Lublin praw miejskich (r. 1310), a także XX-lecia PKWN.

Po tym z konieczności skrótownym przeglądzie osiągnięć i perspektyw Lubelszczyzny na przełomie lat 1960—61 warto zaznaczyć, że nowy rok rozpoczął się pod dobrymi auspiciami. Mam na myśli dwa wielkie wydarzenia styczniowe. Pierwszym z nich było podpisanie umowy o wymianie przygranicznej między województwem lubelskim a sąsiadującym z Lubelszczyzną obwodem brzeskim Białoruskiej SRR (plan współpracy sąsiedzkiej przewiduje szeroką popularyzację osiągnięć w dziedzinie rolnictwa, przemysłu i kultury: wymianę delegacji, artykułów, audycji radiowych, wystaw itd.).

Drugie wydarzenie lubelskie — to oczywiście uruchomienie nowej stacji radiowej. Czy trzeba podkreślać jego wagę? Cenna ta inwestycja wzmocniła zaufanie lubelinian do roku 1961, który powinien przynieść społeczeństwu lubelskiemu nie uszczuplenie, lecz wydatne pomnożenie placówek kulturalnych.

Maria Bechzyć-Rudnicka

## MARIA GÓRSKA

Zamkną w szklanej kuli bezczucia  
Jak owada zastygłego w bałtyckiej  
i przez szybę oglądać skamieniałe  
okiem przechodnia  
[grude miodu  
[curiosum  
[amatora wityrnowych uciech  
i więcej nie —

albo przetopię w zupełnie inny  
acetylenowym płomykiem rozsądku  
zniszczyć  
pamięci zadać gwałt  
zamazać letęską pleczętką

HELENA PLATTA

## Pociąg

Dygotający dobiegł w kłębach  
kurzył mu się dym znad brwi,  
— stacja uśmiechnięta gęba  
oszczypkami, kobialkami  
do tych najeżonych brwi.

Raba — Rabee, baba — babce —  
— otworzono wszystkie drzwi;  
Kierpcem w trawę — jasny peroni  
Struga szyn  
i — trzask i prask,  
— przyjechali dwaj górale —  
... on już na zakręcie gasi.

## Muzeum im. Orkana

Dwa przysiadły świątki czarne  
deszcz po złotych szatkach pluszcze  
sina jedlinowa gałąź  
szyjąc cienie blask im uszczeknie.

Wkolo chodzi zła góralka  
i mamrocze swe zakłęcia.  
O północy kłękły wzgórza  
i pochmurnie Słonka pluszcze.

Trzeci świątek boleściwy  
czesze włosy zgrzeblem z drewna,  
oblok — czarny koń bez grzywy  
pod kościołem rzy i ziewa.

Od Zaborni stąpa wiatr  
rozmarniając owsa kępy  
trzeszczą gonty, śpiewa dach  
— deszcz sierpniowy pluszcze...

## Pstrąg

Tyle deszczu w sierpniu misce  
ile mgły od Gore, od gór.  
Ponieczka skrami pryska  
pod mosteczkiem  
liś.

Spadły szaro-bure chusty  
czterech spódnic  
czepków zwój  
pluska

woda młoda  
po kamykach  
— śmiech.

Rdzawka — słońca wzięła żółtość  
w zamulone skrzela  
brodzi brzegiem  
w jej kolebie  
deszczowa niedziela:  
— na talerzu  
pstrąg.

Rabka 1960 r.

## ROZSTRZYgniĘCIE KONKURSU

W dniu 16 bm. odbyło się posiedzenie Jury Konkursu ogłoszonego przez Zarząd Wojewódzki TRZZ w Lublinie dla dziennikarzy i współpracowników pism lubelskich. Tematyką konkursu objęte były zagadnienia związane z pracą Towarzystwa Rozwoju Ziemi Zachodnich. Jury postanowiło nie przyznawać pierwszej nagrody. Dwie równorzędne drugie nagrody otrzymał: red. Czesław Klepacki („Kurier Lubelski”) i red. Romuald Karaś („Sztandar Ludu”). Ponadto przyznano cztery wyróżnienia red. red.: Eugeniuszowi Pałocińskiemu („Głos Ziemi Lubelskiej”), Romualdowi Wiśniewskiemu („Sztandar Ludu”), Zbigniewowi Markowi („Głos Ziemi Lubelskiej”) i Tadeuszowi Tłuczkińskiemu („Głos Ziemi Lubelskiej”). Niezależnie od powyższych nagród red. nac. „Kamień” Marii Bechzyć-Rudnickiej przyznano specjalną nagrodę za działalność organizacyjno-propagandową w zakresie problematyki TRZZ.

Rozstrzygnięty obecnie pierwszy konkurs prasowy TRZZ będzie ogłoszony corocznie.



# CZARNE i CZERWONE

ANNA TATARKIEWICZ

W świecie, w jakim żyjemy  
będę zawsze po stronie tych, co  
nie mają — F. G. Lorca.

„Sułkowski” — „Księżyc dla nie-  
szczęśliwych” — „Dom Bernardy Alba”  
— trzy bardzo różne sztuki, trzy cał-  
kiem odmienne indywidualności twór-  
cze. Żeromski — przede wszystkim  
epik; O'Neill — par excellence dra-  
maturg, Federico Garcia Lorca —  
poeta. Zauważmy, że nie zdarza się  
prawie, aby epik dawał swoją pełną  
miarę w dramacie; wyjątkami bywają  
tu mistrzowie form nowelistycznych,  
Czechow, Iwaszkiewicz. Klasyk epicy,  
o ile nie stronią od dramatu, od-  
noszą w nim półsukcesy, częściej —  
porażki. Typowym tu przykładem  
Balzac i Stendhal. Wprost przeciwnie  
ma się rzecz z poetami: wielcy drama-  
turgowie byli jakże często wielkimi  
poetami, wielcy poeci miewali nie-  
rzadko swoje świetne przygody dra-  
matyczne. Epika i dramaty są w ja-  
kimś sensie przeciwstawne; nie lubią  
spotykać się nie tylko pod piórem  
tego samego autora, ale nawet w cza-  
sie i w przestrzeni. Gdy kwitnie gdzieś  
dramat, wegetuje zazwyczaj epika —  
i odwrotnie. Uderzającym jest tu przy-  
kład romantyzmu polskiego i francu-  
skiego. W owej epoce Francja miała  
wspaniałą powieść i wcale nie wspania-  
ły dramat (wyjąwszy Musseta, ale  
Musset to drugie pokolenie romanty-  
ków), Polska — znakomity, wielki dra-  
mat i prawie żadnej powieści. U źró-  
deł tego antagonizmu jest może jakaś  
zasadnicza odmienność postawy twór-  
cy wobec twórcy, człowieka wobec  
rzeczywistości. Epik rzeczywistość  
przyjmuje ze spokojem i w osądzie  
jej zabiega o obiektywizm; poeta i  
dramaturg mają do świata stosunek  
namiętny, niecierpliwy, emocjonalny,  
jakże często — buntowniczy. Z tym,  
że liryczny wypowiada się w subiektyw-  
nym monologu, dramaturg głos swój  
obiektywizuje w dialogowanym wielo-  
głosie. Podobieństwo postawy — to  
może wspólny mianownik, łączący dra-  
mat i poezję, dwa gatunki wyrosłe z  
jednego pnia, kroczące chętnie pospo-  
łu, a splatające się ściśle w dramacie  
poetyckim. Co to jest dramat poetycki?  
tego w gruncie rzeczy nikt nie  
wie, definicji jednoznacznej i bez-  
spornej jak dotychczas chyba nie  
stworzono (teoria literatury to nie-  
stety — czy na szczęście — nie ma-  
tematyka...). Niemniej jednak w pew-  
nych wypadkach intuicja z powodze-  
niem wyreca definicję. Do tych wy-

padków należy teatr Lorki. Nie można  
mieć wątpliwości, że to jest teatr poe-  
tycki, nie można mieć wątpliwości, że  
„Dom Bernardy Alba” to dramat poe-  
tycki.

Sam Lorca oświadczał zresztą:  
„Kopiuje wszystko z życia, z doniesień  
prasowych, z wydarzeń. Dziwię się  
bardzo widząc, że ludzie uważają  
sprawy poruszane w moich utworach  
za wymysł poety. Nie. Właśnie auten-  
tyczne szczegóły wydają się ludzko-  
zdumiewające, podobnie jak zdumie-  
wające wydaje im się przyjęcie wobec  
życia postawy tak prostej, a tak mało  
rozpowszechnionej, którą można stre-  
ścić w dwu słowach: widzieć i słyszeć.  
A przecież to takie łatwe”. Mogłoby  
to być wyznanie naturalisty, ale teatr  
Lorki jest przeciwieństwem natura-  
lizmu, jeśli pod naturalizmem rozu-  
miemy jednowymiarowe, dosłowne ilu-  
stracje ludzkich spraw. Naturalizm  
spoza drzew nie widzi lasu. Poeta —  
prócz drzew — potrafi ukazać per-  
spektywę lasu i rozległość dali za nim...  
Przyrodzoną strefą naturalizmu jest  
problematyka obyczajowa, walka o od-  
mianną obyczajów. W „Domu Bernardy  
Alba” Lorca podejmuje również mo-  
tyw obyczajowy, ale ten motyw pro-  
wadzi go do spraw znacznie ogólniej-  
szej natury. W sztuce o ponurym do-  
mu dopatrywano się — i słusznie —  
metaforycznego obrazu uciemnionej  
Hiszpanii. Ale to także byłoby zawę-  
żenie widnokręgu sztuki. Siła poetycki-  
ego uogólnienia pozwala nam odno-  
sić zawarty tu protest do wszelkich  
stosunków, opartych na egoizmie,  
kłamstwie, obłudzie, przemocy. Dra-  
matyczna ballada Lorki o złej matce,  
o złym człowieku — mówi o spraw-  
ach smutnych, tragicznych, czarnych  
— jak czyni to nieraz sztuka ludowa,  
ale dzieło w istocie swej nie jest  
przecież pesymistyczne, bo zakłada  
istnienie wartości, w które poeta wie-  
rzy. Jest buntem przeciwko kłamstwu  
i niewoli — w imię życia pełnego,  
wolnego, autentycznego.

Z metafory, jaką jest wszelki dra-  
mat poetycki, wolno i trzeba wyluski-  
wać sens jak najogólniejszy. Ale samo  
tworzywo, które posłużyło do zbudowa-  
nia metafory — ma w wypadku  
„Domu Bernardy Alba” charakter  
bardzo szczególny. Chodzi mi tu przede  
wszystkim o atmosferę nasyconej  
zmysłowości, erotyzmu, co tak bardzo  
nie leży w naszej, polskiej tradycji  
literackiej. Darmo by szukać u nas  
„Celestyny”, która, przy wszystkich  
różnicach, ma z „Domem Bernardy  
Alba” sporo wspólnego. W porówna-  
niu z niektórymi innymi literaturami,  
nasza, polska — jest powściągliwa,  
wstydliva, czasem po prostu prude-  
ryjna. Ma to swój wyraz nawet w  
leksyce; nie darmo Boy uskarżał się  
żartobliwie na ubóstwo polskiej ter-  
minologii miłosnej. Do czasów Młodej  
Polski o zmysłach mówiono u nas albo  
obłędnie, albo poetycką przenośnią i  
przemilczeniem. Do dziś pewne spra-  
wy brzmiały dla nas szokująco, a u od-  
biorcy, zwłaszcza u widzów (psycho-  
logia tłum...) szok łatwo wybucha  
śmiechem. Dlatego słusznie chyba re-  
żyser lubelskiego przedstawienia p.  
Zofia Modrzewska opuściła z  
tekstu Lorki najdrastyczniejsze sformu-  
lowania, dlatego nie miałabym do  
niej specjalnych pretensji, że z dra-  
matu dobrała przede wszystkim to, co  
czarne, tusząc czerwienią  
hiszpańskich temperamentów. Przy ta-  
kim ujęciu pewne akcenty z natury  
rzeczy uległy przesunięciu; dramat na-

brał charakter bardziej woluntary-  
stycznego, konflikt Bernardy z córka-  
mi — w przedstawieniu lubelskim  
— przede wszystkim gwałtowne star-  
cie różnokierunkowych woli, a nie  
eksplozje niewolonego żywiołu biolo-  
gicznego. Zastępą reżysera jest spo-  
sób stylowa przedstawienia, „doszlif-  
owanie” szczegółów, a przede wszyst-  
kim może — zespolowy charakter ca-  
łej roboty. Są tu role lepiej lub gorzej  
zagrane, nie ma indywidualnych po-  
pisów, nie ma też jakichś rażących  
niedociągnięć, których korekta leżała-  
by w mocy reżysera. Z postacią Bernar-  
dy Eleonora Ossowska  
otrzymała — długo oczekiwaną! —  
wielką rolę dramatyczną. P. Ossowska  
wyraziście dobrała egoizm Bernardy,  
jej apodyktyczne poczucie wyższości,  
brutalność, okrucieństwo, a zarazem  
swoistą siłę ducha. Znakomicie roze-  
grała finał, ukazując Bernardę nie  
pozbawioną ludzkich uczuć, nad któ-  
rymi jednak ostatecznie bierze górę  
zaciętość i zakłamaną ambicja. Pla-  
stycznie zarysowała Poncję Dorota  
Dworzyńska; w pierwszym akcie  
postać chwilami przejawia zbędne tu  
chyba zacięte komediowe, w dal-  
szym jednak ciągu nabiera stylu so-  
cjalistycznego dramatycznego. Celne studium  
upośledzonej nie tylko na urodzie  
Angustias dała Nina Czerska,  
ujawniając swe możliwości charakte-  
rystyczne. Tragiczną, „pokreconą”  
wewnętrznie Martirio bez przejawia-  
nia nakreśliła Maria Górecka.  
Wzłowała dla dramatu rola Adeli przy-  
padła Zofii Stefańska. W  
Adeli zmysłowość sztuki znajduje naj-  
dobitniejszy wyraz; wydaje mi się, że  
to w pewnym sensie polska natura  
wzdragała się w artystce przeciwko  
takiemu postawieniu tej roli, jak by  
tego wymagał tekst. Nec Hercules...  
przeciwko charakterowi narodowemu.

Odcieleśniona, widmowa Maria Józ-  
fą była Daniela Kolaszyńska;  
można sobie wyobrazić inne ujęcie tej  
postać, niemniej przeto jest to naj-  
lepsza chyba rola p. Kolaszyńskiej na  
lubelskiej scenie. Dobroduszną Magda-  
lenę z dużą prostotą zagrała Elżbie-  
ta Cegielska. Rola Amelii nie  
dała większych możliwości Marii  
Szczehównie. Jadwiga Jan-  
czewska przerysowała — trafną  
w zasadniczym ujęciu — postać Słu-  
żącej; w ogóle rola ta została chyba  
nadmiernie wyeksponowana, prawdo-  
podobnie dla podkreślenia wymowy  
społecznej sztuki, ale nie wydaje się,  
aby teatr Lorki wymagał takiego, do-  
sycie zewnętrznego stawiania kropek nad  
i. Zrezygnowaną, smutną Prudencją  
była Stefania Cybulska.

Dekoracje Jankowskiej i  
Toży — tym razem bardziej tra-  
dycyjne (jakkolwiek poetycki charak-  
ter dramatu tu właśnie upoważniały  
do większej umowności) — podkreśla-  
ją przytłaczającą atmosferę domu —  
więzienia. Trzeba poenwalać finezyjną  
koncepcję kolorystyczną kostiumów;  
wolałabym tylko, żeby suknia Adeli,  
jedyny akcent czerwieni, była cała w  
odcieniach purpury, bez innych do-  
mieszek.

Sumując, powiedziałabym, że spek-  
takl nie dobywa co prawda wszyst-  
kiego, co można dobyć z dramatu  
Lorki, ale też w ramach danych możli-  
wości obiektywnych — nie sprzenie-  
wiera się autorowi. W omawianym  
spektaklu teatr daje z siebie maksy-  
mum zarówno jeśli idzie o wybraną  
pozycję (z trzech tegorocznych premier  
— dramaturgia to najwyższej klasy),  
jak o realizację. Maksimum, a więc to,  
czego można i należy wymagać od tak  
ważnej placówki kulturalnej. Ciekawie  
tylko, jak widownia oceni ten ambitny  
wysiłek.

## Proszę o głos w sprawie teatru „skromnego” i „nie-skromnego”!

STANISŁAW K. PAPIERKOWSKI

Podjęta przez Redakcję „Kamery”  
dyskusja dotycząca naszego Teatru,  
pozostającego od trzech lat pod dy-  
rekcją wprawdzie nie jakiegoś znako-  
mitego aktora, reżysera czy teatrologa,  
ale świetnego scenografa p. Jerzego  
Torończyka, koncentruje się wobec te-  
matu: „Teatr skromny czy nie-  
skromny”. Zawiera ona w sobie, bez  
względów na to, czy dotychczasowe  
dwie wypowiedzi utrafiły w sedno  
rzeczy, istotne pytanie: jaki jest, a ja-  
ki powinien być nasz Teatr przede  
wszystkim repertuar. Odpowiedź  
na to pytanie nie należy do najłat-  
wiejszych. Wymaga ona uświadome-  
nia sobie co najmniej trzech spraw:  
zadań teatru w dobie współczesnej,  
zespołu aktorskiego i artystycznego  
kierownictwa.

Teatr dzisiejszy nie jest podobny do  
żadnego ze swoich poprzedników —  
dlatego właśnie ma swoje własne cele  
i zadania. Ma być współtwórcą nowej,  
dzisiejszej rzeczywistości. Otaczająca  
nas jednak rzeczywistość dzisiejsza  
znajduje się wyraźnie w okresie rewolu-  
cyjnego rozwoju; odbywają się w  
niej procesy o kapitalnym znaczeniu.  
Wydaje się rzeczą wielkiej wagi fakt,  
że żyjemy w epoce poszukiwania —  
między innymi — zagubionego czło-  
wieka, człowieka na miarę nie krawca,  
ale Fidiasza. A właśnie teatr należy  
do tych czynników, które wywierają  
niezaprzeczalny wpływ na kształtowa-  
nie struktury psychicznej człowieka,  
jest więc jego zadaniem w tym obrzy-  
mim wysiłku współdziałać. Jest to  
jego zadanie kształtująco-wychowawcze.

Skoro tak, na pierwszy plan wysuwa  
się polityka repertuarowa. Pod tym  
względem nasz Teatr nie jest — śmiem  
twierdzić — ani skromny, ani  
zrozumiały (czytaj: nie —  
skromny). Jego repertuar na prze-  
strzeni ostatnich dwu lat upoważnia  
do opinii, że Teatr im. Osterwy oscy-  
luje pomiędzy obu skrajnymi stano-  
wiskami. Potknąwszy się raz, wysta-  
wiając np. „Mężczyznę” Zapolskiej  
czy coś podobnego, naprawia swój  
błąd spektaklem (mniejsza o chro-  
nologicznie) „Cyda”. Choć i to widowi-  
sko trudno nazwać udanym pod każ-  
dym względem, trzeba mu przyznać  
poważny procent w osiągnięciu arty-  
stycznej ambicji. Jeśli słabą postacią  
był w tym widowisku Król, wynagro-  
dziła to z nawiązką święta Kimena  
p. Danuty Nagórnej. Chociaż „Cyd” w  
reżyserii p. Rakowieckiego niewiele

miał w sobie z Wyspiańskiego, w  
którego przeróbce dramat Corneille'a  
u nas wystawiono, był przecież teatrem  
par excellence kształcącym. Po-  
przez swoje wartości pomnożył w od-  
biorcy lub wytworzył nie istniejącą w  
nim umiejętności myślenia; zmuszał go  
do rozwiązania nie rozwiązanych przez  
autora koncepcji; budził w widzu po-  
trzebę zastanowienia się nad własną  
postawą estetyczną; zbliżył go do  
literackiego dorobku wielkiego pisa-  
rza, przzerucił pomost pomiędzy kul-  
turą własnego i obcego narodu. I  
jeszcze jedno: piękne, żywe słowo w  
ustach p. Mikulskiego jako Rodryga  
i p. Nagórnej było ważkim bojem o  
piękno naszej ojczystej mowy.

Dopuszczając się nieporozumienia,  
jakim było przedstawienie „Cezarego  
Baryki”, naprawił je Teatr bardzo  
wartościowym „Smakiem miodu” —  
w odróżnieniu od „Cyda” teatrem wy-  
chowującym. Przede wszystkim  
poprzez czynnik zespolowości jako  
podstawowy walor wychowawczy.  
„Smak miodu” to wycinek współcze-  
snej rzeczywistości, nasuwającej na-  
szej uwadze problematykę pałace, wo-  
bec których nikomu nie wolno prze-  
chodzić obojętnie, których właściwe  
rozwiązanie wymaga ogromnego wy-  
siłku wychowawczego ze strony całego  
społeczeństwa. ba — całej współcze-  
snej ludzkości. Umiała to niewzrusze-  
nie i przekonująco ukazać p.  
Modrzewska jako reżyser, dorównała  
jej jako centralna postać sceniczna  
p. Marta Grey.

Chyba nikt, kto w naszym Teatrze  
widział „Romulusa Wielkiego” w re-  
żyserii i wykonaniu p. Jana Świdorskie-  
go, nie odważy się zaprzeczyć, że  
wpływ kształtująco-wychowawczy tej  
pozycji repertuarowej był bezsporny?  
— Można się spierać o to, czy p. Ra-  
kowiecki właściwie pokazał na naszej  
scenie „Sułkowskiego”, ale wpływ tego  
niewątpliwie poprawnego, na ogół,  
przedstawienia na kształtowanie się  
osobowości widza był zdecydowany.

Czy taką właśnie politykę repertua-  
rową uprawia teatr skromny, czy  
też nie — skromny, a według  
mnie — ambitny? Mówią mi nie-  
raz moi przyjaciele, teatru znawcy lub  
trzeźwi miłośnicy: „Polityka repertua-  
rowa Torończyka opiera się na zasa-  
dzie eklektyzmu, brak jej kon-  
struktywizmu!” — Zgoda. Tylko

(Dokończenie na str. 10)



Dorota Dworzyńska (Poncia), Zofia Stefańska (Adela), Maria Górecka  
(Martirio), Eleonora Ossowska (Bernarda Alba), Nina Czerska (Angu-  
stias), Elżbieta Cegielska (Magdalena), Maria Szczehówna (Amelia).



# NOC

WIESŁAW ROGOWSKI

Gold nie wiedział jeszcze dokładnie, co powinien zrobić, gdzie pójść, jak się zachować, ale narastało w nim przekonanie, że wszystko, co od tej chwili uczyni, zadecyduje czy będzie żył.

Leżał za kępą krzewów, obserwując bacznie skraj lasu. Był sam na tym skrawku ziemi. Starł się walczyć z ogarniającą go sennością, ale i cisza i zmęczenie po przebyciu trudzie przemogło jego wolę. Gdy się obudził, wydało mu się, że teraz jest jaśniej, niż było wówczas, gdy nadszedł tutaj. Księżyc oświetlał ostro płaszczynę pól, było widać nawet pojedynczą gruszę, stojącą daleko, na miedzy. Gold zaważał się, czy iść, gdyż w tej zimnej poświacie na pewno każdy by go dostrzegł, to mogło być niebezpieczne. Jednak zdecydował się wyruszyć. Nie wyobrażał sobie innej możliwości, wiedział, że dłużej nie znieśie głodu. Kawalek chleba, który zjadł dzisiaj, stał się teraz drażniącym wspomnieniem, zmuszającym do podjęcia jakiejś decyzji. Wiedział, że musi zdobyć jedzenie, ponieważ nie chciał umierać.

Kiedy wyszedł z lasu, zgarbił się mimo woli, żeby samemu sobie wydać się mniejszym. Starł się iść jak najszybciej. Ze strachem rozglądał się dookoła, im dalej zaś zostawał zbawczy las za sobą, tym silniej przenikało go uczucie osamotnienia i bezradności. Był sam na płaskiej, oświetlonej przestrzeni, widoczny zewsząd, narazony każdej chwili na niebezpieczeństwo.

Po długotrwałym marszu dostrzegł w oddali samotne domostwo, a za nim skupisko chat i stodół. Trafił na jakąś wieś; stało się więc to, na co czekał. Ale mimo wszystko zdrętwiał z przerażenia, gdy zrozumiał, że już tu, za chwilę, nadejdzie próba najcięższa. Przykłąkł na ziemi, ściskając kurezwo drogą w rękach. Starł się opanować rozszalałe serce, które zaczęło szamotać, jakby chciało pozostawić go samego i uciec stąd jak najdalej. Jakub nie wiedział co czynić. Tkwił w miejscu, patrząc na najbliższy dom, nie miał odwagi podejść do niego. Minęło może dziesięć minut, a może godzina, gdy wreszcie podniósł się. Wysłał oczy, natężył słuch, był już tylko okiem i uchem, rozdręganymi nerwami i nogami gotowymi do ucieczki; przestał myśleć, wszystko, co dotąd robił, czynił machinalnie jak z dawną wyuczoną lekcją. Myśl krzychała: nie idź — lecz głód pchał go w tamtą, nieznaną, mroczną stronę. Tylko tam Jakub mógł zdobyć jedzenie, dlatego szedł.

Psy zaczęły podnosić jęzgot. Zatrzymał się więc na chwilę, aby umilkły. Znowu ruszył i znowu zaczęły szczeleć. Nagle zauważył, że samotne obścienie, które zobaczył najpierw, stoi daleko od wsi; oddalone było o kilkadziesiąt metrów od następnego domu, od którego oddzielało je gładkie pole i sad. Jakub szedł teraz powoli i czujnie. Uświadomił sobie, że nie wszystkie psy rozkrzyczały się, że to jeden, zapewne z tego najbliższego domu, szarpał się, skowytał i wołał na alarm, a jego szczekanie w pustce nocy wydało się wyolbrzymione, pomnożył je strach. Gold wyprostował się. Wszedł na polną drogę, która wiodła obok samotnej chaty do wsi. Domostwo zbliżało się do niego nieuchronnie; odwrócone oknami do drogi, ślepa ścianą wystawilo w kierunku, z którego nadchodził. Nadszedł do niej i wsparty plecami o drewniane belki nasłuchiwał. Pies wołał rozpaczliwie, jego głos toczył się po piaszczystej drodze do wsi, wracał stamtąd odrzucony jak piłka przez rozbudzone już teraz rzeczywiście psie furie. Jakub dygotał. Wydało mu się, że drewniana ściana domu, do której przybliżył, za chwilę pęknie pod naporem żywej, czujnej ciszy; ktoś tam zapewne czekał jak i on, co będzie dalej; ktoś drżał rozbudzony i zatrzwożony. Jakub

zrobił krok w stronę węgła. Zapukał w szybę. Nikt nie odpowiedział. Zapukał znowu. W chałupie ktoś się poruszył.

— Kto tam? — dobiegło go zduszone pytanie. To był mężczyzna.

— Dajcie chleba — powiedział, starając się opanować drżenie głosu.

— Nie ma.

— Dajcie. Umieram z głodu! — Jakub przeraził się. — Na litość boską!

— Coście za jeden? Z lasu?

— Tak.

— Żyd?

Jakub nie odpowiedział. Zawahał się, zaskoczyło go to pytanie.

— Umieram z głodu — powtórzył.

— Masz broń? — zapytał chłop.

— Nie.

Okienko rozwarło się nagle. Jakub odskoczył. Przeraził się, bo stało się to niespodziewanie; a powinien był pamiętać, że przecież okno musiało się otworzyć, jeśli człowiek chciał mu dać jedzenie.

— No chodź — powiedział chłop. Jakub nie ruszył się.

— Dajcie jeść — poprosił — szybko, panie.

— Masz — powiedział tamten. Jakub poczuł, że napięcie, w jakim trwał, zelżało nieco. Zbliżył się do okna. Nie widział twarzy chłopca, zobaczył ją dopiero wtedy, gdy na wargach poczuł cios pięści. W ułamku sekundy, zanim potoczył się do tyłu, ujrzał rozchylone usta tego człowieka, błysk zębów, fosforycznie rozświetlone białka oczu. Nie zdolał podnieść się z ziemi, gdy napastnik padł na niego. Ścisnął w garści koszulę na piersi Jakuba i znowu uderzył go w twarz. Gold zaskowyczał, usta napelnily mu się krwią.

— Gdzie masz złoto! — stęknął chłop i znowu uderzył.

— Nie mam! — Jakub nie wierzył samemu sobie. — Nie bij!

— Gdzie złoto! — chłop walił pięścią jak młotem, dyszał ciężko, Gold charczał z bólu i wysiłku, starając się zrzucić z siebie bandytę. Nie rozumiał nic z tego wszystkiego; to, co przeżywał w tej chwili zdawało się być zdarzeniem z pogranicza rzeczywistości i gdyby nie przejmujący ból, gdyby nie

Poniżej drukujemy fragment wspomnień Konrada Bielskiego, które mają się ukazać nakładem Lubelskiego Wydawnictwa Książkowego. Wspomnienia w dalszej części zamierzone są jako obraz Lublina 20-lecia, ukazujący wiele wybitnych postaci ze świata literackiego i artystycznego i epizodów z życia kulturalnego tego okresu. W zamieszczonym poniżej I rozdziale wspomnień znajdują Czytelnicy opis powrotu autora w r. 1919 z Zytomierza do Kraju.

**P**RZYJAZD mój do Polski poprzedzało szereg wydarzeń natury niezwykłej i niecodziennych przygód. O przygody w owych burzliwych latach nie było trudno. My młodzi spotykaliśmy się bez mała z entuzjazmem, nierzadko wychodząc im naprzeciw. Nie przewidzieliśmy bowiem, stając u progu życia, że przyjdzie nam przeżyć jeszcze jedną wojnę światową, jeszcze jedną rewolucję i uczestniczyć w takiej dziejowej zawierusze, z której świat wyjdzie całkowicie odmieniony.

W roku 1919 miałem lat 17, mieszkałem wraz z rodziną w Zytomierzu. Ukraina podówczas przypominała krater czynnego wulkanu. Rewolucja, kontrrewolucja, bitwy i rzezie, przesładowania i pogromy, ciągła zmiana scenarii walki o władzę. Jak w potwornym kalejdoskopie.

Kolonia polska w Zytomierzu składała się z autochtonów i rozbitków wojennych z różnych stron kraju, których burza dziejowa osadziła chwilowo na tej m.eliźnie. Celem wszystkich było wyostać się ze stale obłożonego miasta, z kraju objętego pożogą wojny domowej, do wolnej już Polski.

Nie było to ani proste ani łatwe. Od swoich odgradzała nas linia frontu, który wówczas przebiegał gdzieś wzdłuż linii Horynia. Za rogatkami miasta rozciągały się już dosłownie dzikie pola. Teoretycznie terytorium to podlegało władzy radzieckiej, lecz władza ta obejmowała jedynie większe miasta i węzły kolejowe — na pozostałym obszarze panowała anarchia i niezliczone zwalczające się wzajemnie watahy i bandy. Z powodu prawie zupełnego zerwania kontaktu ze wsią, braku jakiegokolwiek dowozu oraz stabilności pieniężnej, w mieście panował głód. W samym sercu mlekiem i miodem płynącej Ukrainy nie mieliśmy

my co jeść. Na koniec przyszła potworna epidemia, hiszpanka o niesłychanej zjadliwości. Ludzie marli codziennie setkami. W stutysięcznym mieście było wielu doświadczonych lekarzy, nie było natomiast żadnych leków, ani środków antyseptycznych. Pierwszy i jedyny raz w moim życiu widziałem obrazy i sceny jak ze średnio-wiecznych sztychów, z czasów morowej zarazy. Nocne pogrzeby we wspólnych dołach, zwłoki przeważnie bez trumien, półnagie, zeszpecone. Niektóre domy całkowicie wymarłe, z zabitymi oknami, drzwiami. Potajemne mody-obiaty i zaklęcia. Placze, zawođenje i lamenty. Byli oczywiście i tacy, którzy słyszeli na własne uszy wyjące na cmentarzach siromachy\*). Wszyscy stali w obliczu zagłady.

A potem niespodzianie zaraza odeszła nagle, tak jak przyszła. Jakby nożem uciął. Nasz sąsiad, młody Żyd, którego przechowywaliśmy podczas petlurowskich pogromów, który zawsze rano przychodził do mego pokoju, przynosząc najświeższe wiadomości i orientując w aktualnej sytuacji politycznej, zapukał w okno skoro świt, tchnął ważną nowiną: dzisiejszej nocy nikt nie umarł w naszej dzielnicy. Była to prawda, nie tylko w naszej dzielnicy, ale i w całym mieście. I w ogóle nikt już więcej na tę chorobę nie umarł.

Po przebyciu hiszpanki, którą szczęśliwie zwyciężył młody i silny organizm, przeżywałem razem z rekonwalescencją potworny apetyt, którego niestety nie było czym zaspokoić. Pamiętam, że wówczas śniły mi się po nocach wysuszone skórki chleba, nieosiągalny przysmak. Naszym z trudem uzyskanym pieczywem były babki z gryczanej mąki bez soli. Zdobywało się te produkty też w sposób niecodzienny. Pieniądz obiegowy nie miał żadnej praktycznej wartości, kosztowności i złota nie posiadaliśmy. Natomiast pozostało nam nieco białejny i pościeli. Była to waluta, za którą można było na wsi dostać jeszcze mąki, kaszy, sera i słoniny. Oczywiście im dalej od miasta, tym transakcje były korzystniejsze. Toteż wychodziłszy wczesnym rankiem, nosząc ukryte pod ubraniem serwetki, chustki, prześcieradła itp. Potem w jakiejś oddalonej wsi zamienialiśmy te skarby na produkty spożywcze, które musiały być podstawą życia w mieście całej naszej rodziny przez długi szereg dni.



— Uciekaj! — powtórzył tamten. Gold wstał. Odwrócił się i, nie patrząc za siebie, szedł na drogę. Dotykał dłońmi rozbitej, okrwawionej twarzy; odchodził stąd, nie rozumiejąc jeszcze nic, zdumiony tak bardzo, że właściwie nie było to już zdziwienie, lecz wewnętrzna, niema pustka.

Księżyc wędrował przez niebiosa. Oświetlał Jakubowi drogę, wtedy gdy Gold odchodził ze wsi, i wówczas także, kiedy polny szlak dotarł do twardego gościńca. Potem zrobiło się ciemniej; zaczęły napływać chmury. Jakub szedł bezmyślnie, nie wiedząc dokąd idzie, nie zwracając uwagi na otoczenie. Lzy ciskły mu po policzkach; były to lzy fizycznego bólu.

— Uciekaj! — powtórzył tamten. Gold wstał. Odwrócił się i, nie patrząc za siebie, szedł na drogę. Dotykał dłońmi rozbitej, okrwawionej twarzy; odchodził stąd, nie rozumiejąc jeszcze nic, zdumiony tak bardzo, że właściwie nie było to już zdziwienie, lecz wewnętrzna, niema pustka.

Księżyc wędrował przez niebiosa. Oświetlał Jakubowi drogę, wtedy gdy Gold odchodził ze wsi, i wówczas także, kiedy polny szlak dotarł do twardego gościńca. Potem zrobiło się ciemniej; zaczęły napływać chmury. Jakub szedł bezmyślnie, nie wiedząc dokąd idzie, nie zwracając uwagi na otoczenie. Lzy ciskły mu po policzkach; były to lzy fizycznego bólu.

Gościńiec, boczna szosa, wiodła przez jakąś wieś. Gold zauważył ją dopiero, gdy znalazł się wśród zabudowań, lecz nie uczynił nic, by uciec. Szedł dalej, nie zważając na szalejący skowyt psów, które w każdej chwili mogły się rzucić na niego albo sprowadzić ludzi. Minął wieś. Droga prowadziła prosto ku rzeczce, przez którą przerzucano ongiś drewniany most. Zauważył go w oddali. Jakub pomyślał: „Most. Most. Niech mnie zabiją”. Wszedł na most z opuszczonymi rękoma; jego kroki dudniły głucho, czuł niekiedy pod stopami, że niektóre belki ruszają się, raz potknął się o jakiś kamień, porzucony tu przez dzieci. Potem most pozostał za Jakubem; n'c nie stało się, nikt na niego nie zawołał.

Po jakimś czasie gościńiec rozszerzył się, wtopił w nowy trakt, wlał się w niego, jak strumień do rzeki. Jakub poczuł pod stopami twardą powierzchnię szosy. Po obu jej stronach ciemność gęstniała symetrycznie, uwikłana w korony drzew. Skraj szosy rozjaśniały nagle, bielejące punkty wymalowanych wapnem kamieni. Coś znajomego, ślad czegoś bliższego wyłonił się z ciemności. Jakub zaczął rozpoznać okolice, w którą wszedł. Po chwili nie miał już wątpliwości, droga ta prowadziła go do miasteczka, z którego uciekł. Zatrzymał się wsparł o drzewo. „Wracam — pomyślał — n'kt tam na mnie nie czeka”. Po raz pierwszy od wielu dni poczuł, że nareszcie trafił na właściwe rozwiązanie; dawno już powinien tu powrócić, tu było jego miejsce; urodził się tam, stamtąd odszedł jego ojciec. Dotychczas starał się odegnać od siebie każde wspomnienie o nim. Zdawał sobie dobrą sprawę, że w chwili ucieczki zadecydował, iż nie wolno mu już

\*) Fragmenty rozdziału 4 powieści, która uzyskała II nagrodę na konkursie Lubelskiej Spółdzielni Wydawniczej i „Kamenny”, w listopadzie ub. r. Akcja powieści toczy się na Lubelszczyźnie.



Kulminacyjnym punktem pomyślnie przeprowadzonych negocjacji był porządek, w czasie którego trzeba było odjechać zaległości i najęść się na zapas. Oczywiście uprawiany przez nas proceder był bardzo niebezpieczny, gdyż władze uważały to za spekulację i w razie schwytania groziła surowa kara. Ja natomiast byłem wówczas młody, zdrowy i pełen entuzjazmu. Śmiałem się do życia i śmiałem się ze śmierci. Toteż z młodszymi braćmi przekradaliśmy się do miasta nocami ze zdobyczą, która była podstawą naszej egzystencji. Życie ludzkie w tych czasach ogólnej zawieruchy, rewolucji i kontrrewolucji, małą przedstawiało wartość i, o paradoksie, bez bezustannego narzania życia trudno było się utrzymać przy życiu.

Jak już na wstępie zaznaczyłem, miasto Zytomierz od początku roku 1919 znajdowało się w zasadzie pod władzą radziecką. W zasadzie, gdyż dookoła buszowały bandy kontrrewolucyjne — Petlury, Konowolca, Machny, Sokolowskiego i innych. Niektóre z tych band były tak silne, że potrafiły czasowo opanować nawet większe miasta. Zytomierz również był wielokrotnie zdobywany i nawet przejściowo przez szereg tygodni znajdował się pod władzą tych oddziałów. Przy przechodzeniu miasta z rąk do rąk mały miejsce okrutne rozruchunki i masowe rzezie. W czasie zdobycia Zytomierza przez bandy petlurowskie zostało w ciągu jednej doby wymordowane przeszło pięć tysięcy Żydów, na których polowano jak na dzikie zwierzęta. Nikt nie był pewny swego życia i nikt nie wiedział co jeszcze nastąpi. Żyliśmy nadzieją, że najbliższe dni przyniosą pewną stabilizację i ułatwią nam powrót do Kraju.

Wiadomości zaś stamtąd mieliśmy nad wyraz skąpe i z niebywałym trudem zdobywane. Radia podówczas nie było. Łączność telegraficzną z większymi ośrodkami, i to ograniczoną, miały tylko oddziały wojskowe. Lokalne gazety raz wychodziły, raz nie wychodziły, a gdy się ukazywały, za pełnione były doroznymi zarządzeniami aktualnie urzędujących władz i obfitym materiałem propagandowym. Wiadomości ze świata były balamutne, albo wręcz nieprawdziwe. Zresztą ludzie nas informujący sami byli niejednokrotnie na czas dłuższy odcięci od wielkich źródeł informacji. Gazetę zastępowała plotka i poczta pantoflowa.

W tych więc warunkach polskie organizacje konspiracyjne (Harcerstwo, P.O.W.) zorganizowały pewien rodzaj poczty między Polską a nami. Poczta ta działała na zasadzie sztafety. Paczkę gazet, biuletynów i korespondencji, którą szczęśliwie udało się przeszwarcować przez linie frontu, dostarczano do pewnego miejsca, z którego kurier zabierał i przerosił do następnego punktu i tak dalej, aż do osiągnięcia celu przeznaczenia. Funkcje kurierów pełniliśmy my, młodzi chłopcy. Ponieważ znaliśmy znakomicie język rosyjski, przede wszystkim zaś ukraiński, byliśmy świetnie zorientowani w terenie, a wyglądem zewnętrznym nawet bez charakterystyki nie różniliśmy się zasadniczo od ogólnego tła, wypełniałmi swe obowiązki sprawnie i — co ciekawsze — prawie bez ofiar. Front w tym czasie był martwy, nie przejawiał żadnej działalności. Na olbrzymich obszarach Ukrainy, znając dobrze język i teren, można było pływać jak ryba w rzecce, omijając groźne zasadzki. Najwięcej trudności i niebezpieczeństw napotykalimy przy pracy w miastach.

Tak to dzięki przemyślanej organizacji mieliśmy jakie takie wiadomości z Kraju. Jednak nasz serwis prasowy, prócz tego że był nieregularny, był również bardzo niedokładny. Gazety znacznie opóźnione, z różnych dat, listy, które zawierały przeważnie treść osobistą i oświadczenia fragmenty życia poszczególnych ludzi, rozkazy i raporty zaszyfrowane i siłą rzeczy ubogie treścią. Toteż ogólny obraz sytuacji w Polsce przedstawiał się nam chaotycznie i niejasno. Powtarzały się nazwiska Pilsudskiego i Paderewskiego, przy czym pierwszy uosabiał lewicę społeczną, polityczną, a drugi prawicę. Czytaliśmy o działalności różnych generałów i polityków, wśród których wiele nazwisk było dla nas absolutnie obcych. Słabo dochodziły do nas odgłosy walk politycznych. Kolonia polska w Zytomierzu też podzielona była na różne ugrupowania wzajemnie się zwalczające, które były nikłym odbiciem działających w Kraju. Zresztą otoczeni wrogim morzem obecnej nam ludności, wtrąceniem w wir wydarzeń dziejowych, których ogromu i znaczenia nie byliśmy wtedy w sta-

nie ogarnąć, niepewni ani godziny, żyliśmy wszyscy jedną tylko myślą — jak najprędzej połączyć się z Polską.

W drugiej połowie sierpnia nastąpiło szereg zdarzeń, które zmieniły zasadniczo naszą sytuację. Zaszła konieczność podjęcia ostatecznych decyzji i te decyzje zostały podjęte. I chociaż przez szereg dni byliśmy jak korek tańczący na burzliwych falach, nie wiedząc gdzie wylądujemy, to i tym razem ryzyko się opłaciło — wylądowaliśmy w Polsce.

A było to tak. Armie kontrrewolucyjne na południu Rosji przystąpiły do ofensywy i osiągnęły chwilowe sukcesy. Oddziały generała Denkina zajęły Kijów, a Kutiepowa Orzeł. Armie radzieckie znajdujące się na prawym brzegu Dniepru stanęły w obliczu bardzo trudnej sytuacji. Na zachodzie byli Polacy. Wprawdzie wówczas front ten nie przejawiał żadnej bojowej działalności, ale był to jednak front, który każdej chwili mógł się zaktywizować.

Armie radzieckie na Ukrainie prawobrzeżnej znalazłyby się wtedy między przyszłymiwojennym młotem i kowadłem. Aby tego niebezpieczeństwa uniknąć postanowiono ewakuować wszystkie tereny na zachód od Dniepru.

O tych wydarzeniach byliśmy poinformowani, dzięki naszej poczcie. Pełni napięcia obserwowaliśmy szybko i gwałtownie ewakuację bolszewików. Lada dzień miały nas opuścić ostatnie oddziały. Lecz za tymi ustępującymi od-

dzyczowa była zerwana). Co nas spotka w tej drodze, jakie przeszkody trzeba będzie zwalczać, jakie niebezpieczeństwa na nas czekają — nikt nie wiedział. Z całym uporem i konsekwencją przystąpiliśmy do realizacji tej imprezy.

Grupa nasza składała się ze stu kilkudziesięciu osób, w różnym wieku i różnej płci. Byli wśród nas małe dzieci, były kobiety i ludzie starsi. Nie było tylko niemowląt i kalek. Zaopatrzyliśmy się we wszelkiego rodzaju możliwe do osiągnięcia dokumenty, zaświadczenia, że jesteśmy uciekinierami wojennymi powracającymi do kraju. Zapas żywności (suchary, kasza, kartofle i suszone mięso) powinien był starczyć nam na dwa tygodnie podróży. Nasz skarbiec, rezultat uprzednio przeprowadzonej zbiórki, składający się z obrączek ślubnych, zegarków i nielicznych pierścionków, był oddany do dyspozycji kierownictwa grupy. Na czele stanął inżynier Topolnicki, którego odwadze, zaradności i szybkości decyzji zawdzięczaliśmy nie tylko powodzenie całej imprezy, ale niejednokrotnie i życie.

Nie mogę dziś sobie przypomnieć dokładnej daty naszego wyjazdu. Notatki moje z ostatnich dni pobytu w Zytomierzu zaginęły, kontakty ze współuczestnikami tej wyprawy utraciłem już dawno. Było to niewątpliwie przy końcu sierpnia. Do ostatniej chwili nie byliśmy pewni, czy odjazd nastąpi, trudności mnożyły się na każdym kroku i im bliższa była data, a nawet godzina wyjazdu, tym było ich więcej. Wreszcie o godzinie drugiej po południu z bocznego toru stacji towarowej Zytomierz ruszył parowóz drzewem opalany i pociągnął za sobą między innymi nasze szesnaście wagonów — w podróż w nieznane. Wśród pasażerów znajdowała się również moja rodzina. Rodzice, dwie siostry matki, ja i dwóch moich młodszych braci.

Nie będę opisywał przebiegu tej naszej anabasis. Gdzie indziej i innym razem. Rozdęłoby to niepomiernie stronicę tej książki, której treścią mają być przecież inne dzieje. Pominę więc pełną przyciętą i napiętą dramatycznych podróży dzikim pociągiem, przez dzikie pola Ukrainy. Zatrzymam się tylko przy końcowym etapie, by opowiedzieć, że i nasz wyjazd do Ojczyzny był również efektywny i nieodczujny.

Po opuszczeniu Zytomierza, jadąc przez Berdyczów, Koziatyn, Winnicę, Zwierzynkę, Płoskirów, Starokonstantynów, po kilkunastu dniach podróży osiągnęliśmy Szepletówkę. Była to ostatnia stacja obsadzona przez Ukraińców, petlurówców. Następna Sławuta była już w rękach polskich. Odległość między Szepletówką i Sławutą wynosiła dwadzieścia cztery kilometry. Tory na całej linii niezniszczono, po obu stronach rozciągał się stary las. Pogoda była jesienna, wspaniała, niebo bez chmurki, noc jeszcze dość ciepła. Taka pogoda trwała przez cały czas podróży, toteż szczęśliwie dojechaliśmy wszyscy. Nikt nie zachorował, nikt nie umarł. Jednak fizycznie i nerwowo większość osób była już w kresu wytrzymałości. Zasoby pieniężne się skończyły, zapasy żywności dawno zjedzone, nocie nieprzespane i ustawiczne balansowanie na krawędzi katastrofy — całkowicie wyczerpały słabsze jednostki, szczególnie kobiety. Pora już najwyższa było lądować.

Zdawało się, że nie łatwiejszego, jak pomyślnie zakończyć naszą przydyktą pielgrzymkę. Między Szepletówką a Sławutą istniało pewne porozumienie. Ukraiński komendant, rezydujący w miasteczku, oddalonym o trzy kilometry od stacji, oświadczył naszym delegatowi, że skoro Polacy dostarczą ze Sławuty szesnaście pustych wagonów towarowych, będą sobie mogli zabrać przybyły pociąg wraz z całą zawartością. Tą zawartością byliśmy my z naszymi betami. Jednak naiegano na pościech, wagony nie mogą stać dłużej niż jedną dobę. By nam ułatwić sytuację, wypożyczono drezynę.

Jeszcze tego samego dnia inżynier Topolnicki wraz z dwoma towarzyszami pojechał do Sławuty. Wrócili przed samym wieczorem. Zachwyceni i szczęśliwi. Widzieli polskie wojsko, rozmawiali z polskim oficerem, komendantem placu. Jutro, skoro świt, przybędzie parowóz z zamiennymi wagonami i skończy się nasza martyrologia. Noc cała upłynęła na wesółych rozmowach i opowiadaniach. Nikt nie spał. Choć kolacja była więcej niż skromna, panował nastrój radosnego podniecenia.

Nazajutrz z pierwszym braskiem dnia sto par oczu wypatrywało nad lasem smugi dymu, a uszy łowiły znajome szmery, odgłosy. Na próżno. Miały godziny za godzinami w bolesnym oczekiwaniu. Pociąg ze Sławuty nie przyszedł. Żywność definitywnie się

skończyła. Komendant ukraiński zażądał opuszczenia wszystkich wagonów. A wagony te, zaopatrzone w blaszane plecyki, były od dwóch tygodni naszym domem. Po długich pertraktacjach, prośbach i molestowaniach, pozostawiono nam tylko cztery wagony. Wpakowaliśmy w nie wszystkie toboły i bety, umieściliśmy wewnątrz starsze kobiety i dzieci — pozostali zanołowali sub Jove.

Noc była już dość chłodna. Niebo czyste, bez chmur, wyiskrzona gwiazdami. Nikt z nas nie spał. Czekaliśmy w milczeniu dnia, który miał przynieść rozstrzygnięcie. Do godziny pierwszej po południu dnia następnego pociąg ze Sławuty nie przyszedł. Komendant zażądał opróżnienia ostatnich wagonów. Atmosfera stała się gęsta, kobiety histeryzowały, wielu mężczyzn straciło głowę. Najbardziej fantastyczne projekty padały co chwila. Ci ludzie, którzy podczas długiej podróży okazywali całkowite opanowanie i odwagę, zalamali się u progu wyzwolenia. Sytuację skomplikowały uporczywie krążące wieści o bandzie rabunkowej, która zapadła na skraj lasu i czeka tylko zmroku, by nas wymordować i doszczętnie ograbić. Było to, niestety, więcej niż prawdopodobne. Jednocześnie nadeszła wiadomość, nie wiadomo jaką drogą, że z powodu przegrupowań na linii frontowej wojsko polskie w ciągu najbliższych dni nie będzie mogło po nas przysłać lokomotywy i pustych wagonów. Sytuacja stała się rozpaczliwa i beznadziejna.

I wtedy... kto pierwszy wpadł na ten pomysł, nie wiem. Przypuszczam, że ta myśl ogarnęła jednocześnie wielu ludzi. Tak to wszystko nastąpiło spontanicznie, nagle, a jednak miało charakter dobrze przemyślanej akcji. W samo południe, gdy ukraiński posterunek wojskowy udał się na obiad do pobliskiego miasteczka, zapakowaliśmy do naszych czterech wagonów dzieci, kobiety i starszych, a wszyscy pozostali zaczęliśmy pchać wozy przed siebie. Dobrze naoliwione, bez trudu dały się uruchomić i wspierane siłą kilkudziesięciu ramion nabierały coraz większej szybkości. Na drodze znajdował się samotny, pusty wóz, włączyliśmy go do naszego składu i aniśmy się obejrzel, jak ten oryginalny pociąg pomknął w kierunku Sławuty. Stacja Szepletówka zniknęła już z pola widzenia, na prawo i na lewo rozciągały się lasy, nad nami blade jesiennie niebo, przed nami droga prosta jak strzeżół, dookoła żywego ducha. Ja należałem do grupy pociągowej. Od razu zauważyłem, że pchać wagony jest stosunkowo łatwe, natomiast wielką trudnością sprawiło przyhamowanie, gdy teren stawał się nieco falisty. Nie bardzo umieliśmy się posługiwać hamulcem, trzeba było rękami trzymać wagon w miejscu, gdzie najłatwiej dało się uchwycić, a nogami opierać się mocno o tor i w ten sposób zwalniać pęd. W pociągu tym przecież były nasze matki i siostry, dzieci, gdyby się wyrwał z naszych rąk, wszyscy by mogli zginąć.

Mijały godziny, z przerażeniem zauważyłem, że coraz bardziej wagony panowały nad nami i wymykały się spod naszej władzy. Obuwie mieliśmy zdarte na strzępy, nogi i ręce pokrwawione. Pot zlewał nam twarze, pragnienie dokuczalo nieznosnie. Mięśnie, wyczerpane długotrwałym postem i bezsennością, najwyraźniej słabły. A kresu podróży nie było widać. Las, niebo, las, niebo i srebrne wstążki szyn. W końcu, w oddali za zakrętem mignęły sylwetki ludzi. Żołnierze. W tymże momencie wagony potoczyły się z góry, wyrwały z naszych rąk i nabierały coraz większego pędu. Żołnierze, zaskoczeni wylaniającym się z lasu nieznanym pociągiem, który na dawane sygnały nie chciał się zatrzymać, oddali ostrzegawczą serię z karabinu maszynowego. Kule świsnęły koło nas. Wtenczas kto miał co przy sobie białego, chustki, serwetki, ba nawet przecieradła i koszule — zaczął machać i powiwać w kierunku strażników. Żołnierze błyskawicznie stanęli po obu stronach toru, w poprzek położyli drewnianą belkę, zatrzymali rozpędzone wagony.

Wtedy to już nastąpiło wielkie powitanie. Za dziesięć minut byliśmy dostarczeni do Sławuty i oddani w ręce polskich wojskowych oddziałów. Jedni z naszych płakali, inni się śmiali. Wiele bardzo wzruszających scen można było zauważyć dookoła. Ja, choć również wzruszenie trzymało mnie za gardło, brałem jednak udział wraz z moimi rówieśnikami w ataku na bufet kolejowy, który był weale obficie zaopatrzone.

Takie to było pod jesiennym niebem Ukrainy nasze z Ojczyzną spotkanie.

Z ukraińskich wierszy ludowych — ośm w rodzaju wilkoka.

# POWRÓT

## KONRAD BIELSKI

działami nie postępowały żadne inne. Za armią ludzi postępowała armia cieniów. Luźne watahy nacjonalistów ukraińskich rozgromionych niedobitków spod znaku Machny i Sokolowskiego. Oczywiście wszędzie tworzono straż obywatelską dla bezpieczeństwa i samoobrony. Bardzo prędko doszły nas pewne wiadomości, że na przyjeździe do Zytomierza wojsk polskich możemy nie liczyć i pewnego sierpniowego dnia, gdy przegalopowały przez ulice tylne strażę sowieckie, znaleźliśmy się w opuszczonym mieście, na ziemi niczyjej, zdani na łaskę i niełaskę anarchicznych i awanturnicznych elementów. Wtedy to wśród grupy polskiej inteligencji powstał ten fantastyczny projekt, na pozór absurdalny, który jednak dzięki pomyślności i niespożytej energii kilku ludzi został zrealizowany i w konsekwencji doprowadził nas do Polski.

Armie radzieckie ewakuując prawobrzeżną Ukrainę pozostawiły znaczną część taboru kolejowego. Nie mogły, czy też nie chciały zabrać go ze sobą, toteż na stacjach pozostał. Została również w pobliżu większych dworców, spora grupa kolejarzy, autochtonów, którzy nie chcieli dźelić niepewnych losów ewakuowanych jednostek. Tory kolejowe były nienaruszone, z wyjątkiem zachodnich połączeń i zerwanych mostów na wolińskich rzekach. Oczywiście — jakiegokolwiek komunikacji normalnej nie było i nie mogło być, natomiast powstał taki mały przewóz pasażerów i towarów pomiędzy większymi stacjami. Sporadyczny i nieregulowany, ot taka prywatna inicjatywa kolejarzy, którzy na tym nieźle zarabiali, a ludność miejscowa miała quasi-łączność z najbliższymi ośrodkami. Aktualne władze państwa życzyliwym okiem na ten proceder, gdyż nie były dość mocne, a ten stan rzeczy stwarzał pozory jakiegoś lada.

Wtedy to pomiędzy nami, to jest grupą polskich uchodźców, a przedstawicielami kolejarzy została zawarta jedyna w swoim rodzaju umowa. Mianowicie wynajęliśmy pociąg, składający się z szesnastu wagonów towarowych i parowozu, który to pociąg miał nas dowieźć aż do polskiej granicy. Cała ta podróż miała się odbyć na wyjątkie nasze ryzyko. Kolejarze, za odpowiednim wynagrodzeniem zobowiązali się dostarczyć nam pociąg z całym bagażem do sąsiedniej stacji węzłowej i tam przekazać w ręce swoich kolegów, ci zaś z kolei mieli nam dopomóc w dalszej drodze, aż do szczęśliwego końca. Etapów takich przewidywało się dużo, gdyż trzeba było jechać na południe i robić olbrzymie koło (linia na zachód od Ber-



FELIKS MARIA NOWOWIEJSKI

## Finale w operze

Lubie trzask bębnow i wichurę blachy —  
Chorał Twój, Ojczy, gdy na cześć Winety  
Pieją kapłany, a prachrobre Lachy  
Z orężem stoją na murach Winety...  
Sto słońce tu płonie — wieże, złote dachy!  
W pysze się śmieją pogańskie kobiety —  
Zda się, świat runie pod stopy Winety  
Przy trzasku bębnow i wichurach blachy!

# PIEWCA BAŁTYKU

Przed 15 laty, 18 stycznia 1946, zmarł w Poznaniu Feliks Nowowiejski, autor opery „Legenda Bałtyku”. Urodził się on na Warmii w Barczewie, w 1877. Po studiach (m. in. u Antoniego Dwórzaka w Pradze) rozpoczął twórczość kompozytorską od formy monumentalnej i symfoniki. Z tych lat upowszechniły się zwłaszcza: „Ojczyzna” na 8-głosowy chór z orkiestrą, oratoria (nagroda im. Meyerbeera 1902, liczne wykonania w Europie i Ameryce po pierwszych w filharmonii Concertgebouw Amsterdam i Carnegie-Hall Nowego Jorku), uwertura „Swaty polskie” (nagroda im. Beethovena 1903). Za pieśniarstwo uzyskał Nowowiejski I nagrodę na konkursie w 100-lecie urodzin Chopina (Lwów 1910).

Najpopularniejszym utworem Nowowiejskiego w kraju jest melodia patriotycznej „Roty” do słów Konopnickiej, odśpiewana po raz pierwszy

podczas odsłonięcia Pomnika Grunwaldzkiego w Krakowie. Kompozytor był wtedy dyrektorem artystycznym Towarzystwa Muzycznego i koncertów symfonicznych w tym mieście. Po I wojnie światowej przeniósł się na stałe do Poznania. Tutaj odbyła się prapremiera „Legendy Bałtyku” (1924), wykonywanej następnie na wszystkich innych scenach muzycznych kraju, m. in. w Warszawie. Po II wojnie światowej wznowił „Legendę” z wielkim sukcesem Poznań, po czym dzieło zabrzmiało we Wrocławiu i Rostoku (NRD).

Poznań w latach międzywojennych był również miejscem prawykonań baletów Nowowiejskiego: „Malowanki ludowe” i „Król wichrów” (na tle legend góralskich). Podobnie jego pieśniarstwo solowe i chóralne tegoż okresu czerpie motywy z folkloru polskiego — od Warmii i Pomorza do Lubelszczyzny.



Rzeźba Karola Hukana

Czas okupacji przeżył Feliks Nowowiejski w Krakowie, gdzie stworzył m. in. liczne liryki solowe z cyklu „Muzyka mojej duszy”, Koncert fortepianowy z parafrazą „Obrazy słowiańskie” oraz IV symfonię.

W styczniu br., z okazji 15 rocznicy śmierci Feliksa Nowowiejskiego, odbędzie się w Polsce szereg imprez muzycznych. M. in. Państwowa Filharmonia w Poznaniu przygotowała pierwsze po wojnie wznowienie poematu symfonicznego Nowowiejskiego „Beatrice”, pod batutą Edwarda Burego, specjalny koncert w wykonaniu filharmonicznego chóru Stefana Stuligrośa z solistami oraz prawykonywanie III symfonii pod dyrekcją Jerzego Katlewicza. Państwowa Opera we Wrocławiu uczci rocznicę spektaklem opery „Legenda Bałtyku” Feliksa Nowowiejskiego.

(n)

## Sprawy zawsze aktualne

WŁODZIMIERZ  
WÓJCIKOWSKI

Kancelarz Adenauer wysunął rozszerzenia do Prus Wschodnich, wicekancelarz Erhard zażądał Górnośląska, także prezydent Lübke wysunął postulat w stosunku do naszych Ziemi Zachodnich. Dodajmy do tego zapowiedź generała Speidla obrony „wolnego świata” z „najdalszych pozycji Europy Wschodniej”, dodajmy memoriał sztabu Bundeswehry domagający się jej wyposażenia w broń atomową i wzrastającą rolę tejże w NATO.

Są to fakty z ostatnich kilku miesięcy. Rewizjonizm stał się oficjalną polityką rządu bońskiego, przekształcając jego „pokojowe” deklaracje. Rząd boński zdecydowanie wychodzi naprzeciw wzrastającej aktywności rewizjonistycznych organizacji ziomkowski, religijnych i charytatywnych, blisko 350 wydawnictw prasowych — organów rewizjonizmu, 80 instytutów naukowych, katedr i zespołów do „badań Wschodu”, fabrykujących „naukowe” teorie na użytek rewanżystów.

Demaskowanie przed opinią publiczną Polski i świata zabobnych tendencji odradzających się rewizjonizm i militarysty w NRF, przypomnienie społeczeństwu junkiersko-pruskich tradycji, doświadczeń narodu polskiego w walce z niemieckim „Drang nach Osten” — jest dziś jednym z naszych obowiązków społecznych. Naszemu województwu w czasie ostatniej wojny mocno dała się we znaki bezwzględność imperializmu hitlerowskiego, to też reaguje ono na nawrót takich tendencji w NRF bardzo żywo i jednoznacznie, o czym świadczyła chociażby postawa lublinian, tłumnie odwiedzających pokazaną u nas wystawę „Nauka w służbie Drang nach Osten”. Nie-

mniej na informowanie społeczeństwa o tych sprawach powinniśmy położyć jeszcze większy nacisk.

Łączy się z tym ściśle potrzeba jak najszerszego zainteresowania społeczeństwa lubelskiego sprawami ziem zachodnich. Ziemi te — najmłodsze i jednocześnie najstarsze w naszym organizmie państwowym — są przedmiotem szczególnej troski całego narodu polskiego, obecnie w innych już kategoriach niż przed kilku laty. Po wyzwoleniu stanowiły one jeden z najważniejszych problemów nowego państwa polskiego. Chodziło bowiem nie tylko o ich pełne zagospodarowanie i odbudowę, ale także o dokonanie ich zupełnej integracji społecznej i gospodarczej z resztą kraju. Teraz są one nie tylko zagospodarowane i odbudowane, nie tylko stanowią z nami jeden mocny organizm państwowy, ale tu i ówdzie prześcignęły w rozwoju pozostałe regiony kraju (Opolszczyzna jest np. przodującym województwem rolniczym, w Zielonej Górze czy Opolu powstały ośrodki kulturalne, które można zaliczyć do najwyższych itd., itd.). Nawet propaganda zachodniemiecka musi nam to przyznać, że odebrano jej jeden z argumentów, jakim się posługiwała w swych roszczeniach terytorialnych wobec Polski — że Ziemi Zachodnich nie potrafimy zagospodarować, że wobec tego nie są nam one potrzebne. Dziś chodzi więc już tylko o dalszą aktywizację życia gospodarczego i kulturalnego Ziemi Zachodnich i z nimi całego kraju.

Sprawę pomocy władzom państwowym w tym zakresie wzięło na siebie Towarzystwo Rozwoju Ziemi Zachodnich, inicjując jednocześnie współpracę między tymi terenami a innymi regionami kraju dla obustronnej korzyści. Chcemy tu zwrócić uwagę na potrzebę współpracy Lubelszczyzny z Ziemią Zachodnią, dalszego zacieśniania i utrwalania więzi społecznej, poznawania postępowych tradycji i współczesnych osiągnięć.

Trzeba więc szerzej popularyzować u nas wielowiekowe tradycje Ziemi Zachodnich w walce o ich polskość pod naporem germanizacji, trzeba popularyzować ich obecne osiągnięcia, nawiązywać z nimi współpracę gospo-

(Dokończenie na str. 10)

## „MASZERUJĄ CHŁOPSKIE BATALiony...”

ELŻBIETA ROSIAK

Tradycje walk społeczno-wyzwoleńczych na terenie Lubelszczyzny, a szczególnie powiatu puławskiego, są bardzo stare. Od wieków bowiem świadomość chłopstwa z tych okolic kształtowana była przez księdza Piotra Sciegienego, Ludwika Waryńskiego, Bolesława Prusa, Stefana Zeromskiego, Faustynę Morzycką czy Feliksa Dzierżyńskiego. Do pięknych kart z historii okręgu puławskiego zaliczamy działalność ruchu ludowego — zjazdy w naleczowskim „Ludowcu”, wyjątkowo masowe wstąpienia chłopów do „Wici” i Stronnictwa Ludowego, poranki poetów i pisarzy chłopskich, uniwersytety ludowe i różnego rodzaju kursy. Nie jest więc dziełem przypadku, że przed wybuchem drugiej wojny światowej chłopci z okolic Puław mieli wyraźne poczucie swej siły, roli i świadomości społecznej. Właśnie z działaczy ludowych i wciwowych tworzyły się szeregi ludzi, którzy w czasie okupacji niemieckiej potrafili śmiało stawić czoła Niemcom. O tym właśnie ruchu oporu informuje nas wydana ostatnio książka Stefana Rodaka — „Roll” pt. „Maszerują Chłopskie Bataliony”.

Czytelnik dowiaduje się z jej kart, w jaki sposób doszło do zorganizowania Batalionów Chłopskich i obsadzenia ich kierownictwa, co jest bardzo charakterystyczne, ponieważ wtedy stopień wojskowy nie był sprawą zasadniczą:

„Przy doborze ludzi kierowano się przede wszystkim postawą ideową, zdolnościami organizacyjnymi i bojo-

wymi, energią i poświęceniem w dotychczasowej pracy”.

W książce Rodaka znajdujemy liczne sylwetki działaczy Batalionów Chłopskich („Sęka”, „Stalowego”, „Kawki”, „Bieleckiego”, „Zucha” i innych), które mogą być pięknym przykładem prawdziwego bohaterstwa ludu polskiego walczącego o wolność. Wplecione w relacje uczestników i wspomnienia walk wiersze i piosenki z okresu walk partyzanckich doskonale oddają atmosferę tamtych czasów. Głęboko utkwia w pamięci czytelnikowi akcje ludzi związanych z BCH — wysadzenie pociągu amunicyjnego pod Gołębim, napad na posterunek żandarmerii w Michowie, Należczowie czy też akcja zbrojna pod Łąkocją. Nienawidź do okupanta podwajały akcje pacyfikacyjne wsi, znęcanie się nad ludnością, kontyngenty i wysyłanie przymusowe na prace do Rzeszy, o tym wroście nienawiści i jednocześnie wroście siły ruchu oporu informuje Rodak na przykładzie okolic Puław bardzo dokładnie.

Autor zdaje sobie sprawę z tego jak ważnym problemem jest wzrost świadomości społecznej ludzi i z pełnym zrozumieniem kreśli obrazy walki o zdobycie jak największej liczby członków ruchu oporu. Dużo miejsca poświęca konspiracyjnym wydawnictwom, a szczególnie gazecie pt. „Biuletyn Polski”, która przekształciła się później w „Orle Ciosy” — oficjalny organ BCH Puławszczyzny.

Forma opracowań i wspomnień książki „Maszerują Chłopskie Bataliony” nie jest jednolita. Obok relacji bezpośrednich uczestników walk mamy formę pamiętnika (Kartki z dziennika Elzetki), krótkie biografie wybitnych działaczy BCH czy też wspomnienia potraktowane po literacku z liryczną lekkością i sentymentem. Sceneria obchodzonych „Zaduszek w konspiracji” ma w sobie coś przerażającego, tajemniczego:

„Cmentarnymi ścieżkami snuły się na tle krzyżów grupy tych, co „ślubowali walczyć o wyzwolenie ojczyzny i nie zdradzić, cokolwiek by się stało.”

Cisza cmentarna. Nad zebranymi wisią granatowa noc. Z wysoka milcząco patrzyły gwiazdy”.

Czyni dzielnych partyzantów z BCH kwalifikują się jako dobre tworzywo literackie. Nic też dziwnego, że po zamknięciu książki Stefana Rodaka nasuwają się pewne podobieństwa z obrazem walk partyzantów na terenie Wąwolnicy, Należczowa i okolic — w powieści J. N. Kłosowskiego pt. „Gwiazdy nad polaną”.

Książkę Rodaka i powieść Kłosowskiego łączy wspólni bohaterowie i wydarzenia. Weźmy dla przykładu Mikołaja, żołnierza radzieckiego, którego Kłosowski wyposaża w piękne cechy charakteru i który z miłości do własnego kraju i Polski, ginie, a partyzanci kopią mu grób „pod młodą bielutką brzezina”. Bardzo sympatycznie przedstawiona jest również postać Julka Chabrowsa („Sęka”), którego obydwa autorzy głęboko cenili za postawę, poświęcenie i zmysł organizacyjny. Jest jednak pewna i to dość wyraźna różnica między Kłosowskim i Rodakiem. Autor książki „Maszerują Chłopskie Bataliony” zdobył się na większy obiektywizm w przedstawianiu historii ruchu oporu w okolicach Puław, widział oprócz partyzantów BCH także i żołnierzy z AK, umiał ich właściwie ocenić, skrytykować — gdy było trzeba i ukazać bohaterstwo, którym się odznaczyli. Rodak wprowadza więc swoimi wspomnieniami bardzo potrzebną korektę do powieści Kłosowskiego, dając znacznie pełniejszy, prawdziwy obraz walki społeczeństwa Lubelszczyzny z hitlerowskim najeźdźcą.

Oczywiście książka „Maszerują Chłopskie Bataliony” nie wyczerpuje zagadnienia walk mas ludowych o wyzwolenie kraju w czasie II wojny światowej. Jest to zbyt obszerny temat, by mógł się zmieścić w jednej książce, z pewnością dużo jest jeszcze problemów do opracowania. Trzeba np. zebrać wiersze i pieśni z tego okresu, by nie uległy zapomnieniu, lecz jako dokument bohaterstwa zmagającego narodu polskiego były wzorem dla przyszłych pokoleń. Trzeba jednak powiedzieć, że widzimy w książce Stefana Rodaka — „Roll” ambitną próbę zapełnienia luki w naszej literaturze poświęconej bohaterom spod znaku BCH.

\* Stefan Rodak „Roll”: Maszerują Chłopskie Bataliony... Z dziejów podziemnego ruchu ludowego w obwodzie puławskim (1939-1944). Opracowania i wspomnienia. Warszawa 1960, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, s. 441, 3 nrb, 1 mapa. Cena 30 zł.



# REMANENTY po KAZIMIERZU WIELKIM

MIROSLAW DERECKI

— W Kazimierzu mieszkał aptekarz, którego syn n.e chciał się uczyć. To niesłychane zjawisko mogło oddziaływać destrukcyjnie na młode umysły. Pewnie dlatego zostałem szybko wywieziony przez rodzinę do innego miasta...

— I tyle Pan wyniósł z miasta, w którym mieszka ponad dwa tysiące osób?

— Nie. Był tam jeszcze jeden wykary...

— A później?

— Wisła oraz kelner z Warszawy(!), który tak szybko recytował spis potraw, że n.e można było uchwycić sensu słów i mówiło się — „co pan uważa”. W farze świecznik z głową jelenia, te drugie małe organy po prawej stronie. A z baszty widać cyrk w dole na prawo. Babcia tak się zmęczyła wchodzeniem po schodkach, że jej teraz serce pika... Mając dwadzieścia lat już się w.e, że Kazimierz to miasto polskiego renesansu. No i perla Lubelszczyzny... Któregoś dnia na plaży albo u Berensa podrywa się babkę. Wtedy przychodzą jeszcze dwa odkrycia: że można się kochać i że najlepiej się kochać na Albrechtówce... Zwykle świeci słońce.

— No tak. Przez trzy miesiące bez przerwy odbywa się wielki festyn. Dziewczyny, słońce, wino, dziewczyny, woda, słońce, dziewczyny... Letni artyści w SARPIE... Kolorowo. I bez troski jak za przezroczystą zasłoną... A „normalni ludzie” czyli tubylcy żyją tak samo, jak Pan widzi w tej chwili, w grudniu.

— No widzi Pan. A na początku kpił Pan z powierzchownych wrażeń kilkuletniego chłopca...

Król Kazimierz i Esterka już bardzo dawno temu dali zły przykład. Może dlatego mieszkańcy Kazimierza są bardziej od innych wyrozumiali dla młodych par szukających jakiegoś niekrepującego schronienia.

Zresztą, pokoje dla letników to jedno z podstawowych źródeł zarobku mieszkańców miasteczka. Podczas trzymiesięcznego sezonu właściciel domku „wyciąga” przeciętnie 7 do 10 tysięcy złotych. Ale to za mało, żeby utrzymać rodzinę przez cały rok. Ludności, składającej się ni to z robotników, ni to chłopów — mających tylko niewielkie, 1 — 1,5 hektarowe gospodarstwa — wyraźnie nie przelewa się. Toteż pomysłowość właścicieli, jeśli chodzi o zwiększenie atrakcyjności posiadanych „obiektów”, jest nierówna.

Przed wojną o właścicieli zamku w Janowcu, p. Kozłowski, krążyła plotka, że przybrał tytuł „księcia” codziennie rano triumfalnie wjeżdżał konno po moście zwodzonym do swoich ruin. Teraz konia nie ma, bo zdechl. Sprytny właściciel nie dał jednak za wygraną. Teraz w komnatach wynajmowanych letnikom straszy Czarna Dama. I tutaj znowu złośliwi twierdzą że Czarna Dama nie istnieje. Widziano za to podobno cień samego właściciela przebiegającego się późnym wieczorem w czarne, damskie suknie...

„W rynku Berens”. Pod takim tytułem Adolf Rudnicki w „Wiadomościach Literackich” z 39 roku zamieścił wielki pochwalny artykuł o słynnej restauracji. Wynikało z niego, że Berensowi nie śpieszy się do klientów, bo wie, że i tak prędzej czy później przyjdą, zwabeni doskonałą kuchnią (drob, ryby, dziczyzna), zręczną i szybką obsługą. Podobno mają zjeżdżać się tutaj wesołe towarzystwo na obiady.

Teraz sprawa przedstawia się co najmniej inaczej. O ile jeszcze w lecie przez lokal przewija się codzienne półtoratysięczne tłum letników, miotających obelgi pod adresem obsługi, jakości potraw i kierownictwa, o tyle w zimie — pustki. To „Berens” czeka. Pomimo 30 dań w karcie, eskalopu po węgiersku i befsztyka po hambursku.

Każde małe miasteczko cechuje wybujały patriotyzm lokalny. Widocznie

w tym kierowały się LZG Śródmieście w Lublinie, przemianowując, zaraz po objęciu, nazwę restauracji na „Esterkę”, jeśli tak, to srodze się zawiodły.

Obywatele Kazimierza najlepiej czują się w barze „Pod Jeleniem”. „Berens” jakoś stracił dawną dobrą reputację. „Pod Jeleniem” zbierają się mieszczanie i chłopcy z okolicznych wiosek pracujący w kamieniołomach. Upijają się cicho i spokojnie. Nawet klóca się szeptem. Aż dziwnie.

Widocznie taki już jest Kazimierz po sezonie, cichy i spokojny...

Ale czy naprawdę jest spokojny?... Podobno już za czasów Chrobrego istniała tutaj osada. Położenie na skrzyżowaniu szlaku lądowego ze wschodu na zachód i wodnego z południa na północ sprawiło, że Kazimierz Wielki wziął te tereny w posiadanie i rozbudował osadę, której później nadał prawa miejskie.

Przyjeżdżając na polowania zatrzymywał się w specjalnie dla niego wybudowanym zamczku myśliwskim. Po wysiłku, jaki wkładał w pozostawienie Polski murowaną, odpoczywał w ramionach pięknej Esterki.

Obywatele Kazimierza mogą zrezygnować z wielu legend. Z miłości Kazimierza i Esterki, z zamczku myśliwskiego, który w rzeczywistości był zamkiem obronnym strzegącym przeprawy na Wiśle, z Macieja Borkowica — wielkiego awanturnika.

Nigdy natomiast nie zgodzą się na postawienie pod znakiem zapytania faktu, że protoplastą żyjącego obecnie w Kazimierzu rodu Ulanowskich był flisak, który osiedlił się tutaj w XVI wieku, a założycielem rodu Doraczyńskich kupiec z XVII...

Miasteczko tylko na pozór wydaje się ciche i senne. Pod pokrywą spokoju i bezruchu wró od zawiści i antypatii, niekończących się klótni i sporów. Potomkowie dawnych flisaków i kupców, jak tylko mogą, starają się dać odczuć swoją wyższość mieszkańcom, którzy nie mają wiosła albo wagi i łockia w herbie. Każdy przyjezdny jest dla nich nie nie znaczącym „przybłądą”. „Przybłądami” są nazywani nawet ci, którzy już 20, a nawet 30 lat mieszkają w Kazimierzu.

Niewyżyte ambicje, żądza władzy, sprawiły, że pomimo ciągłych wewnętrznych tarć rody Ulanowskich, Doraczyńskich i Góreckich tworzą silny klan ludzi co prawda lojalnych politycznie, ale zupełnie biernych, sceptycznie i ironicznie ustosunkowanych do wszelkich poczynań władz miejskich. Senior rodu Ulanowskich — Tadeusz — przed wojną sprawował w Kazimierzu urząd burmistrza. Stare rody były wtedy oczywiście faworyzowane.

Trzy lata temu przewodniczącym MRN został 27-letni Jerzy Drozdowski. Umocniła się organizacja partyjna. Postanowiono za wszelką cenę kierownicze stanowiska obsadzić ludźmi młodymi, nie związanymi ze środowiskiem. Udało się. Rody przegrały, zostały całkowicie odsunięte od władzy. Do dzisiaj nie mogą tego przeboleć.

Oczywiście młodzi przedstawiciele „rodów” są już zupełnie inni. Nie tylko nie pochwalają, ale nie rozumieją stanowiska, jakie zajęli ich rodzice. W ogóle problem młodzieży to w Kazimierzu problem bardzo aktualny. Miłecja i moi przygodni rozmówcy twierdzą jednoznacznie, że np. chuligaństwo w Kazimierzu w ogóle nie istnieje. Młodzież natomiast jest bardzo „zmannierowana”.

Specyficzna atmosfera w lecie, kiedy przyjeżdża mnóstwo młodzieży „ze świata”, działa jak przysłowiowe uderzenie obuchem w łeb. Dyżurny milicjant określił to krótko dwoma słowami: „bezmyślnie malpują”. Ktoś inny powiedział: — „stają się leniwi, tłumacząc, że przecież letnicy też nie robią, nie gołą się, bo zauważyli to u autostopowiczów. a moralnie... Trzeba jednak przyznać, że zetknięcie się z tą „inną” młodzieżą posiada i swoje dobre strony...”

Kiedy letnicy pluskają się w Wiśle, kazimierzanie doglądają sadów za rzeką. Wydzierżawili je na wiosnę. Jesienią zbierają setki ton owoców. I wtedy wylaniają się trudności. W Kazimierzu nie ma zorganizowanego rynku zbytu. Właściciele na własną rękę muszą szukać nabywców.

Na terenie miasta istnieje spółdzielnia przetwórcza owoców „Ogrodnik” — filia spółdzielni w Nałęczowie, produkująca soki, dżemy, wina owocowe. Niestety może ona przyjąć tylko stosunkowo niewielką ilość owoców.

Kiedy wyjadą ostatni letnicy, późną jesienią, zaczynają dymić okoliczne pola. Suszenie jabłek, śliwek i gruszek. Kopie się dół, przykrywa go

czymś w rodzaju kraty z drzewa, na której leżą owoce. W dole rozpalają ogień. I w tak prymitywny, od setek lat stosowany sposób — „węszą”.

Przez całą zimę Kazimierz „struga kije”. Od najdawniejszych czasów wyplatano z wikliny wiele przedmiotów codziennego użytku. Obecnie produkuje się tylko drewniane obręcze do beczek na masło. Sama tylko filia przedsiębiorstwa „Las” zatrudnia około 70 chałupników. Głównymi odbiorcami obręczy są Dania i NRF. „Las” wysyła tam rocznie 60 tysięcy obręczy.

Po długim moczeniu, a następnie okorowaniu, wiklinowy kij dostaje się w ręce „obręczarza”. Musi on go teraz dokładnie oczyścić, przelupać wzdłuż, wreszcie wygiąć gotową „szplisę” na specjalnym przyrządzie — tzw. „boku”.

Aby zarobić 1500 zł miesięcznie, chałupnik musi zrobić dziennie ok. 6 wiązek. Wiazka zawiera 48 obręczy. Za jedną wiazkę dostaje 10 zł.

Kazimierz ma wielką szansę. W Puławach powstaje potężny kombinat siarkowy. Będzie potrzebował wielu ludzi. To nie tylko może poprawić sytuację finansową, ale zmieni skład społeczny ludności Kazimierza i może nareszcie uzdrowić stosunki panujące w mieście.

Dawny szpitalik dla kalek i starców przy ulicy Lubelskiej, przytulony do murów kościoła św. Anny, na pierwszy rzut oka sprawia wrażenie opuszczonej rudery. Wspinaczka po stromych drewnianych schodkach grozi połamaniami nóg... Tabliczka informująca, że tutaj mieści się Miejski Dom Kultury budzi smutne refleksje.

Tymczasem, zaraz po otwarciu drzwi przybysz staje zupełnie zaszokowany, tak bardzo wewnątrz różni się od zewnętrznego wyglądu budynku. Na lewo biblioteka i czytelnia, na prawo Klub Domu Kultury. Wysoka, obszerna sala, podium dla orkiestry, kolorowy, okrągły parkiet do tańca. Przy stołkach przeważnie młodzież. Właśnie ta rzekomo to „zmannierowana”...

Całe wnętrze klubu, zaprojektowane przez kazimierskiego plastyka p. Kmitę wykonali sami. Pierwszego października ubiegłego roku klub roz-

począł swoją działalność. Na razie istnieją tutaj tylko koła brydżystów i szachistów. Ale Rada Społeczna Domu Kultury i młoda energiczna kierowniczka klubu Teresa Drohomirecka mają plany o wiele większe.

Kupując instrumenty dla organizującego się ogniska muzycznego, myślą o utworzeniu zespołu dramatycznego.

Kazimierzanie nie lubią SARP-u. Jest dla nich zamknięty. Do ich klubu może przyjść każdy.

Władze miejskie dużą wagę przywiązują do spraw kultury. Piętro budynku przy ulicy Lubelskiej zostanie wyremontowane. Dzięki temu Dom Kultury uzyska kilka dalszych pomieszczeń, zostanie zlikwidowana największa jego bolączka — ciasnota.

W Rynku, przy Oddziale PTTK, działa jeszcze jeden klub. Tutaj można napić się kawy, porozmawiać, podyskutować...

W kinie „Wisła” buduje się scenę. Do Kazimierza będzie mógł teraz przyjeżdżać teatr.

Przy Komitecie Miejskim PZPR utworzono Komisję Młodzieżową, składającą się z członków partii i bezpartyjnych. Ma ona nawiązać kontakt i zająć się młodzieżą Kazimierza. Już teraz widać wyniki. Od dwóch tygodni, kilkudziesięciopięciodziesięcioroosobowa grupa „zmannierowanych”, bezinteresownie pracuje codziennie po kilka godzin przy budowie nowoczesnego boiska sportowego.

Tak, miasteczko tylko na pozór wydaje się ciche i senne... Budowę nowych ulic, uporządkowanie bulwarów nad Wisłą i zieleńców miejskich, budowę stacji obsługi samochodów, parkingu strzeżonego i nowej pływającej przystani dla statków, oświetlenie reflektorami Zamku i Baszty — miasto pokryło z własnego skromnego budżetu...

W czasie sezonu przez Kazimierz przewija się 150 tysięcy letników, turystów zagranicznych, wycieczek. Problem żywienia i noclegów pozostaje nadal otwarty. Miasto jest niedoinwestowane. Brak kanalizacji, hoteli, letnich restauracji.

— A ja i tak pojedę do Kazimierza...

## Kazimierz którego nie ma

STEFANIA PODHORSKA - OKOŁÓW

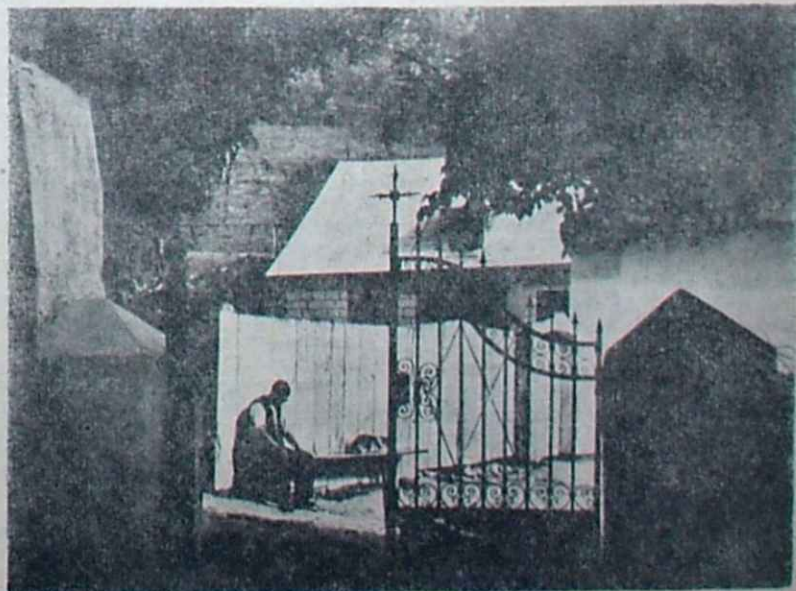
Kazimierz na fotografii. Aha! więc znowu zawsze młoda fara, zabytkowe spichrze, dwie renesansowe kamieniczki w rynku, drewniana studnia, klasztor w wieńcu kasztanów, srebrna wstęga Wisły w dole... Widoki znane na pamięć z pocztówek, z niezliczonych obrazów olejnych, akwarel, grafik, rysunków i szkiców.

Nie z tego. Benedykt Jerzy Dorys, tak dobrze nam ludziom pióra znany ze swoich międzywojennych portretów fotograficznych, uwieczniających rysy wybitnych pisarzy, plastyków i aktorów przede wszystkim na lamach „Wiadomości Literackich”, pokazał na swojej wystawie jubileuszowej, urządzonej w 35-lecie jego pracy, nie! raczej twórczości, w salce Kordegardy na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie, zupełnie inny Kazimierz. Kazimierz na codzien, Kazimierz rzeczywisty, mrowisko nędznych bud i nędznych ludzi, wegetujących w cieniu wielkiej przeszłości.

Mówi się o królu Kazimierzu Wielkim, że zastał Polskę drewnianą, a zostawił murowaną. Tak stało się zapewne i z tym miasteczkiem, ale to było dawno. Od tej pory niejedną raz zdarzyły się pożary, niejedną raz odbudowywało się na nowo, za każdym razem bardziej samorzutnie i fantastycznie. Te budy z tarci, te komórki ze żrzących i kawalków dykty, trzymające nad sobą imitację dachu z papy niepisany prawem inercji przy całkowitym zaprzeczeniu prawa ciężenia, — tak właśnie wyglądało zaplecze Kazimierza.

Starcy podobni do grzybów i pleśni, porastających przyzby i lawy w głębi zagraczonych podwórek, dzieci rojące się nad ściekami i na śliskich kamieniach, służących za stopnie do sklepików z krzywo wymalowanym szyldem „Woda sodowa”. Szare punkciki wśród barwnego tłumy hulaśliwych turystów, rozchelatanych malarzy w

(Dokończenie na str. 12)



„Bramka przykościelna”



**P**ARCZEW. Kwadratowy rynek. Kilka nowych bloków mieszkalnych. Obok stare rudery. Jasno oświetlone okna gospody „Ludowej”. Dom Kultury. Powiatowe urzędy i instytucje. Dwa razy dziennie ulice zapelnione młodzieżą uczącą się w miejscowym Liceum. O takich miasteczkach zwykło się pisać: „senne nudne, zapadła dziura, świat zabity deskami”. Ale przecież coś się dzieje w takich „dziurach”. I tu życie nie stoi na miejscu.

#### KONTRASTY

Zalóżmy, że słup ogłoszeniowy jest pierwszą wizytówką informującą przyjeźdnego o wszystkim, co się dzieje w miasteczku.

Ten człowiek był przyjeźdnym. Spoglądał w ubogie okna wystawowe. Zatrzymywał się przy afiszach. „Państwowy Teatr im. J. Osterwy wystawia „Cyda”. „Wieczór autorski Rolskiego”. Przyjeźdnym idzie w kierunku Domu Kultury. Podpiera się laską. Wojskowy, podniszczony płaszcz. Inwalida?

— Spłoszył się koń. Spadłem z wozu. Złamałem lewą nogę. Pogotowie odwiozło mnie do szpitala w Lubartowie. Następnego dnia, dosłownie na godzinę przed operacją, zabrała mnie żona. Do Serwina w Tarle. Wielka jest sława tego znachora. Znachor przywołał pięciu mężczyzn. Wypili tęgi łyk wódki. Poczęstował swych pomocników. Wypili również. Położono mnie na ławie. Pomocnicy trzymali. Znachor ciągnął. Ból. Jaki potworny ból. Mdałem. Po trzech tygodniach przywieziono mnie do znachora ponownie. Obejrzał swoje dzieło. „Zle krośnięta kość”. I znów pięciu męż-

# W OBRONIE „SLOGANU”

ADOLF LEKKI

czyn, a nade mną kat. Uderzył m'otkiem. Nalożył gips. Wyszedłem od niego kaleką na całe życie.

— Dlaczego nie wracacie do domu? — Czekam na swoich z wioski. Wybieramy się dzisiaj do teatru. Przyjadą na kilku wozach. My nie opuszczamy ani jednej sztuki. Mamy w Działyniu własny zespół artystyczny. Dobrze jest widzieć, jak grają prawdziwi artyści. Czytamy także dużo książek w zespołach czytelniczych...

Kierownik Obwodowej Przychodni Lekarskiej w Parzewie dr Mieczysław Frączkiewicz jest oszczędny w słowach. Podaje tylko fakty.

— Zarejestrowałem kilkanaście wypadków trwałego kalectwa spowodowanego przez znachora z Tarla. Wśród ofiar są rolnicy, dzieci, traktorzysta z Dębowej Kłody, a nawet milicjant.

— Czy popularność znachora nie jest wynikiem braku wiary w lekarzy? — Nie — pada stanowczo odpowiedź. — To świadczy o zafoban. Dziedzictwo przeszłości ciąży jeszcze na nas, a nasze sukcesy wychowawcze są ciągle za małe w stosunku do potrzeb. I nie chodzi mi tylko o znachora. W praktyce lekarskiej spotykamy się z wiarą w gusła i zabobony wśród wielu mieszkańców. W niektórych wioskach chorzy „leczą” się jeszcze za pomocą zaklęć. Te wioski to otwarte

pole do działania dla Towarzystwa Wiedzy Powszechnej, zresztą dla każdego świadomego człowieka.

Pod budynkiem ruch. Konne wozy. Samochody. W jasno oświetlonej sali pełno. Starzy i młodzi. Teatr przyjechał. „Cyda” grają tu po raz piąty.

Państwowy Teatr im. J. Osterwy odwiedza Parzew regularnie co dwa tygodnie. Można więc mówić o wykształconym widzu, o tym, że teatr stał się dla wielu mieszkańców miasta i powiatu artykułem pierwszej potrzeby.

#### DZIEŃ JEST KRÓTKI

— Przyjęło się powiedzenie, że wszelkiego rodzaju diabełstwo mieszka w mrokach, że kocha ciemność, by w niej zwoździć człowieka. Tymczasem we wspaniale oświetlonych „Gospodach Ludowych” tylu już ludzi usmiliło swe życie, tylu spadło w bagno, że śmiało mogą one otrzymać nazwę przybytków zła. Te wypaczone przez nasz handel gospody — to nasza zmora. Ciągłe z nami konkurują i jak dotychczas w większości wypadków z powodzeniem.

Kierownik Wydziału Kultury PPRN w Parzewie Jan Tereszczuk narzeka nie tylko na beznamiętność w sprzedaży alkoholu. Nie brak mu i innych zmartwień. Kultura — to dziedzina poddawana nieustannym eksperymentom. W niektórych gromadzkich radach narodowych eksperyment polega na tym, że fundusze przeznaczone na świetlice bądź bibliotekę zabiera się na inny „bardziej potrzebny” cel. W powiatach zastosowano inny eksperyment. Były wydziały kultury — zlikwidowano je. Eksperyment się nie udał. Oddzielono więc referaty kultury od inspektorów oświaty. Janowi Tereszczukowi powiedziano: — Rób kulturę. Sam. Etyatów nie ma. Kierownik wystąpił więc z wnioskiem do WRN. Przyznano. Etyaty już są. Brakuje ludzi. Tereszczuk boi się przyjąć do pracy referenta skupu zwolnionego z pracy za lenistwo. Nie chce także sklepowej, która popchnęła manko. A ludzie posiadający odpowiednie wykształcenie nie chcą przejechać do Parzewa. Stary problem.

Na szczęście Tereszczuk nie jest sam. Jest tu jeszcze zespół ludzi zajmujących się działalnością kulturalną w powiecie. Dzięki tym ludziom można już mówić o pierwszych wcale nie błahych osiągnięciach.

Przed wszystkim świetlice. W odróżnieniu od dawnych lat zakłada się je dzisiaj tylko w tych miejscowościach, których mieszkańcy sobie tego życzą. W sumie na papierowym wykazie pozostało ich tylko cztery. Lecz do każdej z nich można zaprowadzić „delegata z góry”. W Żminnem, Przewłocze, Chmielowie i Milanowie pracują zespoły artystyczne, wieczorami świetlice rozbrzmiewają radosnym gwarem. W Działyniu buduje się czynnym społecznym Dom Ludowy, w którym znajdzie pomieszczenie kino stałe i biblioteka.

Istniejącym już świetlicom przychodzi z pomocą parzewski Powiatowy Dom Kultury. Jego kierownik, Feliks Janik, osmy krzyżyk wkłada na swe barki. Lecz to nie przeszkadza mu

dobrze się czuć w otoczeniu młodzieży. Reżyser, plastyk, śpiewak w jednej osobie doprowadził do tego, że w krótkim czasie zaczęły działać dwa zespoły teatralne — dla starszych i dzieci, trzy zespoły taneczne, w tym dwa młodzieżowe. Utworzona została poradnia kulturalno-oświatowa. Poradnia podjęła niemały trud: trzyletnie szkolenie instruktorów i kierowników świetlic wiejskich dla powiatu parzewskiego i włodawskiego. Zajęcia na kursie odbywają się przez trzy dni w kwartale. Niedawno PDK przeprowadził seminarium dla instruktorów tańca.

Młodzież zgrupowana wokół PDK podjęła w ubiegłym roku trudne zobowiązanie: z funduszy uzyskanych z imprez artystycznych rozbudować dotychczasowe pomieszczenie. Obliczono koszt — 150.000 złotych. Być może, że to niewiele w zestawieniu z ilością pieniędzy wydawanych bez efektów na cele kulturalne. Ale przemnożenie to przez liczbę wieczorów potrzebnych na opracowanie sztuki, przez liczbę dni poświęconych przez tę młodzież na pracę społeczną, a okaże się, że słowa pochwały pod adresem tej młodzieży są uzasadnione.

Kilka słów o czytelnictwie w powiecie parzewskim. Biblioteki istnieją w każdej gromadzie, a w większości wsi czynne są punkty biblioteczne. Następuje stały wzrost liczby czytelników i to nie tylko spośród młodzieży. W okresie zimowym chętnie sięgają po książkę także stacelni gospodarze. Przychodzą oni również na zajęcia prowadzone przez kierowników bibliotek z czytelnikami. Jedną z form takich zajęć są spotkania z pisarzami. A spotkań tych wcale nie jest mało. Ziemia parzewska cieszy się chyba specjalnymi względami wydawnictwa „Pax”, skoro deleguje ono w ten rejon kraju swych literatów przynajmniej raz w miesiącu.

#### I CO DALEJ?

Dziwny jest obraz powiatu utrzymany w dwóch barwach — czarnej i białej. Znachor — teatr. Zabobon — biblioteki. Alkohol — świetlice.

Podobny on trochę do fraszki rysunkowej zamieszczonej przed kilku laty w „Szpilkach”. Przypominam ten rysunek, bo najtrafniej odzwierciedla on sytuację, jaka wytwarza się w dalekich ośrodkach wiejskich: „Przy teledziurze siedzi małżeństwo. W pewnej chwili gąsnie obraz. — Może transformator nawalił — mówi mąż. — Gdzie tam. Maciejowa przeszła za oknem i zauroczyła — stwierdza żona”.

To prawda, że za radiem, książką, traktorem czy kombajnem nie poszły jeszcze wszechstronne zmiany w sposobie myślenia ludzi, że „nasze sukcesy wychowawcze są ciągle nieproporcjonalnie małe w stosunku do potrzeb”.

Na plenarnym posiedzeniu Wojewódzkiego Komitetu PZPR w Lublinie poświęconym pracy polityczno-oświatowej na wsi zapadła uchwała wskazująca główne zadania dla organizacji partyjnych. Ogólnie rzecz biorąc, głównym celem tej uchwały jest stworzenie szerokiego frontu przeciwko ciemności i zafobanowi. Być może określili ktoś takie sformułowanie jako slogan. Będę bronił tego „sloganu”. Kryje się w nim istotna treść. W takim froncie jest miejsce dla każdego, komu młły jest postęp. Chodzi o to, aby wszelką działalność kulturalną przepełnić treścią wychowawczą, aby doprowadzić do takiego stanu, w którym obok książki, świetlicy czy zespołu artystycznego nie będzie absolutnie miejsca dla znachora.

## PROSZĘ O GŁOS W SPRAWIE TEATRU...

(Dokończenie ze str. 5)

— eklektyzm to niekoniecznie wada, w swoistych warunkach staje się on zaletą, a przynajmniej czymś koniecznym i przez to samo usprawiedliwionym. Co grać? — pytanie to dręczy i sen z powiek spędza każdemu dyrektorowi, kierownikowi literackiemu, reżyserowi. Z czym liczyć się winna polityka repertuarowa? Czy z postulatami wysuwanymi przez aktualną rzeczywistość? Bezwzględnie tak i to na pierwszym miejscu, jeżeli teatr ma być tej rzeczywistości swoistym odbiciem a zarazem współtwórcą. Stąd pogoń za utworami współczesnymi. W naszej twórczości rodzimej albo nie ma ich wcale, albo są bardzo słabe, trzeba więc sięgać po obce. Ile jednak wiąże się z tym trudności nie do pokonania, zwłaszcza przez teatr prowincjonalny (w geograficznym tego słowa znaczeniu)!

Godzimy się na to, że działalność kształcąco-wychowawcza powinna być wszechstronna, odrzucając działanie jednostronne. W polityce repertuarowej naszego Teatru stanowisko oddziaływania wszechstronnego rysuje się bardzo wyraźnie: obok utworów jak najbardziej współczesnych wprowadza on na swoją scenę utwory z lat minionych, ale o nieporównywalnych wartościach artystycznych i wychowawczych. A więc — wybiera. Czy taki eklektyzm zasługuje na dyskryminację?

Poprzez utwór współczesny ukazuje Teatr życie bezpośrednio dzisiejsze; wprowadzając na scenę utwór z wielkiego repertuaru klasycznego, nawiązuje zjawiska aktualne do takich samych lub podobnych w przeszłości — daje więc widzowi wysoce kształcąco-możność porównywania. Na ograniczenie się do jednego, określonego aspektu repertuarowego może sobie pozwolić teatr tylko wtedy, kiedy w jego środowisku jest kilka innych placówek teatralnych. Wówczas jedna z nich może być teatrem klasycznym, druga — współczesnym, trzecia — ludowym itp. Teatr im. Osterwy w Lublinie jest teatrem w naszym środowisku jedynym i jako taki musi być repertuarowo wieloaspektowym z aspektem eksperymentalnym włącznie. Musi zaspokajać różnorodne potrzeby środowiska, musi przypominać szkołę ogólnokształcącą, której istotnym rysem programowym jest wieloprzedmiotowość.

Obok kształcenia i wychowywania własnego zespołu i widza teatr ma również — bawić. W teatrze mamy prawo szukać, od czasu do czasu, również zabawy, zasłużonego odpoczynku, byśmy mogli bodaj na chwilę zapomnieć o tym, co na codzień boli i gnębi. Pod tym względem Teatr im. Osterwy jest teatrem „skromnym”, a raczej mało pomysłowym. „Igraszki trafu i miłości” ubawić nie mogą, ponieważ trącą myszką i grzesząc niestrawną dla człowieka współczesnego naiwnością wywołują przede wszystkim nudę. Nie może nas też ubawić, ani słowem ani sytuacją, słabizna w rodzaju „Jutro pogoda”, choćby się w niej aktorzy zgrywali jeszcze bardziej intensywnie, aniżeli tego byliśmy świadkami. Cóż jednak począć, skoro trudno o dobrą komedię, czy współczesną farsę, a dobra komedia klasyczna wymaga wykonania na takim poziomie, na jaki naszego zespołu aktorskiego nie stać? Nie tylko zespołu Teatru im. Osterwy.

Stąd właśnie eksperymenty, u nas i poza naszym krajem; stąd śmiałość, czasem zbyt dowolne odczytywanie na nowo tekstów wielkich klasyków. Dziwne, bardzo dziwne (o czym poucza lektura, skoro dla autopsji nie ma warunków) losy spotykają w Anglii Szekspira, we Francji Moliera, a we Włoszech Goldoniego. Film z całą swoją pomysłowością wdziera się do teatru, narzuca mu własne koncepcje inscenizacyjne, reżyserskie itp. Jest przy tym i druga strona tego zjawiska. Jej przejawem — wystawienie „Sulkowskiego” w naszym Teatrze. Przed inscenizatorem i reżyserem jawi się dylemat: Sulkowski taki, jak widział go Stefan Żeromski i jego współcześni, czy też Sulkowski widziany z pozycji dzisiejszej? Współczesność dzisiejsza wyznacza określone kategorie patrzenia i rozumienia dzieła literackiego — to prawda, ale dylemat pozostaje. Przeszanie on dręczyć wtedy dopiero, kiedy ktoś ukaże w swoim utworze historyczną postać Sulkowskiego tak, jak to zrobił Dürrenmatt z Romulem Wielkim czy Anouilh z Antygoną. Dopóki jest to jednak Sulkowski Żeromskiego, powinien nim pozostać. Być może, że patrząc na tę sprawę poprzez kult dla wielkiego pisarza, ale proszę mnie przekonać, że tak patrzeć nie należy.

Pora na jakieś syntetyczne ujęcie problemu i zajęcie określonego stanowiska w dyskusji. Nie wiem, czy Teatr im. Osterwy w Lublinie jest teatrem „skromnym”, czy „nie-skromnym”, skoro żadne z tych określeń istoty zagadnienia nie ujmuje, widzę natomiast, że jest on teatrem poszukującym. Poszukującym właściwej drogi. Znalazienie jej nie będzie oczywiście łatwe. Nie będzie łatwa też bardziej, że aktorów „starych” pomieszano z „młodymi”: że raczej klasycznej metodzie pracy reżyserskiej p. Modrzewskiej przeciwstawiono współ-

## SPRAWY zawsze aktualne

(Dokończenie ze str. 8)

darczą i kulturalną, wymieniać doświadczenia. Lubelskie Towarzystwo Rozwoju Ziemi Zachodnich ma w tym zakresie spore już osiągnięcia — organizowanie spotkań ludności województwa z wybitnymi działaczami i pisarzami Ziemi Zachodnich, zapraszanie zespołów artystycznych, organizowanie

czesną reżyserię p. Rakowieckiego. Jaki będzie efekt tego konglomeratu, pokaże przyszłość. Jak pojmie swoją w tej sytuacji rolę p. Toronczyk jako dyrektor i kierownik artystyczny? Czy poddał zachowaniu koniecznej równowagi? I na to pytanie odpowie praktyka przyszłości.

Stanisław K. Papierkowski

rajdów i wycieczek na Ziemię Zachodnią, konkursy, odczyty, różne imprezy. Łączy się z tym także demaskowanie kłamstw propagandy NRF o obecnym stanie i życiu tych ziem. Zasadniczy kierunek pracy zwrócony jest w stronę młodzieży, która w Polsce Ludowej wyrosła w innych zupełnie warunkach, niż poprzednie pokolenia, i nie zawsze należycie rozumie obecny trud i walkę naszego narodu o rozwój, o utrzymanie pokoju.

Musimy jednak dążyć do tego, by zagadnienia te były realizowane u nas nie tylko przez TRZZ, ale w szerszym niż dotąd zakresie przez inne organizacje i instytucje. Jednocześnie trzeba się starać, by Lubelszczyzna była w podobny sposób popularyzowana na Złemiach Zachodnich. Wtedy tylko współpraca ta osiągnie należyty sens, przyniesie korzyści nam i naszym współpracownikom, stanie się poważnym wkładem do wszechstronnego aktywizowania życia Ziemi Zachodnich i całego kraju. W ten sposób udzielimy najlepszej odpowiedzi rewizjonistom zachodnoniemieckim i ich sojusznikom.

Włodzimirz Wójcikowski



odwracać się ku przeszłości; byłoby to wbrew rozsądkowi, który nakazywał zachować wszelkie siły na walkę o przyszłość, o życie.

Oderwał się od pnia drzewa i poszedł środkiem drogi. Kiedy zobaczył pierwsze domki, skręcił w boczną odnogę szosy, która biegła skrajem miasteczka. Szedł cicho po płaszczyźnie nawierzchni, mijając uśpione domostwa; wydawało mu się, że czuje ciepło, bijące od tych domów, żywe, ludzkie ciepło.

Zobaczył, że cień człowieka uskokczył za róg domu. Jakub zwrócił się w tamtą stronę, chciał go odszukać, powiedzieć wszystko, kim jest, dlaczego wrócił.

# NOC

Podszedł do tamtego, mimo iż widział wyraźnie polyskujący kształt pistoletu w jego dłoni.

— Zabij — powiedział. — Jestem Żydem.

— Cicho! — syknął cień. — Po coś tu przyszedł, człowieku, uciekaj!

— Nie mam dokąd — odparł Jakub. Oparł się o ścianę, aby się nie przwrócić.

— Jak się nazywasz?

— Jakub Gold.

Tamten schował pistolet. Stał w milczeniu, nie wiadomo, czy usiłując dostrzec w ciemności twarz Jakuba, czy namyślając się, co wypadła mu uczynić.

— Niech pan sobie idzie — powiedział Jakub. — Niech się pan mnie nie boi.

— Trzeba coś zrobić — nieznamy zbliżył się do Golda.

— Nie mam już sił — odparł Jakub.

— Proszę pójść ze mną — powiedział tamten. — Niech pan idzie, mieszkać sam, potem pomyślimy co zrobić.

Jakub osunął się na ziemię. Stało się to tak nagle, że nieznamy cofnął się o krok w ciemność. Potem pochylił się nad leżącym.

— Co się stało? — zapytał i przykląkł obok Jakuba. Dotknął jego twarzy. Jakub jęknął.

— Boli — szepnął. — Pobili mnie, niech pan nie dotyka.

Z wysiłkiem dźwignął swe ciało i chwytając się ściany stanął, aby pójść za nieznamym.

Trzeba się śpieszyć — powiedział tamten i ująwszy Jakuba pod rękę, wyprowadził go na ulicę. Odeszli brzegiem drogi, pod ścianami domów.

„To niemożliwe — myślał Gold — przecież to nie może być prawda. Wszystko śni mi się, zaraz się obudzę”.

Wiesław Rogowski

W numerze 51 „Przeglądu Kulturalnego” Jan Parandowski przypomniał swoją ze wszech miar słuszną przedwojenną inicjatywę w sprawie założenia w stolicy muzeum literatury. Pomyśl autora „Alchemii słowa” zrodził się tuż przed wojną, której wybuch przekreślił całkowicie możliwość urzeczywistnienia tego projektu. Przypomniał Parandowski o nim już w pierwszym potowojennym zjeździe literatów w Krakowie, a później, jak pisał, „korzystał z każdej sposobności, by wznowić tę sprawę”. Mimo to wciąż jeszcze nie mamy w Warszawie muzeum literatury.

Na siedzibę projektowanego muzeum inicjator upatrzył już w r. 1939 domek J. I. Kraszewskiego przy ul. Mokotowskiej. W piśmie rozesłanym w owym czasie wszystkim członkom PEN-Clubu, muzeologom, historykom literatury i in. osobistościom Parandowski wspomina, że muzeum literatury byłoby nowością, „przynajmniej nie zdarzyło mu się spotkać nigdzie podobnej instytucji”.

Prawdopodobnie przed wojną tak było istotnie. Obecnie w Moskwie, oprócz monograficznych muzeów L. Tolstoja, Czechowa, Gorkiego czy Majakowskiego, istnieje Państwowe Muzeum Literatury, instytucja naukowo-badawcza i kulturalno-oświatowa, związana z historią literatury i ruchów społecznych w Rosji. Nie miałem jednak sposobności poznania jej bawiąc w ubiegłym roku w stolicy Związku Radzieckiego.

Ale zwiędziłem w r. 1954 Muzeum Piśmiennictwa Narodowego na Strahow w Pradze, otwarte w r. 1953. Mieści się ono w wielkich budynkach poklasztornych zakonu norbertanów, a znajduje się też tutaj czeski Instytut Literatury Akademii Nauk, Archiwum Literackie Muzeum Narodowego i olbrzymia biblioteka, z której każdy może korzystać na miejscu. Muzeum to jest naprawdę imponujące: obejmuje dzieje piśmiennictwa czeskiego od jego zarania, od Cyryla i Metodego, aż do czasów dzisiejszych.

Obszerny czworokątny dziedziniec klasztorny otoczony jest na parterze krużgankiem, w którym na ścianach i w wnękach umieszczono ekspozycje ilustrujące początki kultury słowiańskiej (wykopaliska) i narodu czeskiego: podania historyczne, w gablotkach pamiątki po kulturze materialnej państwa wielkomorawskiego i zabytki

świadczące o rozkwicie literatury starosłowiańskiej, m. in. pierwsza kronika czeska Kosmasa — fotografie, obrazy, oryginały. Szczególną wagę poświęcono pokazaniu rozwoju języka czeskiego w późniejszym okresie — od krótkich wstawek w tekstach łacińskich aż do legend pisanych już wyłącznie po czesku. Wiek XIV obok utworów religijnych reprezentują takie dzieła, jak epos o feudalnym rycerstwie „Aleksandris”, wierszowana kronika Dalimila, liryka za Karola IV i dzieła naukowe, które powstały w związku z otwarciem uniwersytetu w Pradze.

W obszernej sali romańskiej ze szczególnym pietyzmem umieszczono ekspozycję związaną z postacią Jana Husa, nie tylko jako teologa, ale przede wszystkim jako bojownika o sprawiedliwość społeczną, o prawdę.

Wynalazek druku, pierwsze drukarnie i książki — to wszystko aż do klaszki bibliograficznej — przedstawiają dalsze sale położone na piętrze. Specjalna sala poświęcona jest ekspozycjom łączącym się z działalnością pisarską Jana Amosa Komenskiego.

A potem — pokoje związane z postaciami wielkich patriotów, „budzieli” którzy dźwignęli język czeski i literaturę z upadku po dwuwiekowym mroku zastoju i ucisku, kiedy to tylko chłopcy i plebejska warstwa w miastach zachowała w czystości język narodowy, — a więc sale twórcy filologii słowiańskiej Józefa Dobrowskiego, czeskiego Lindego — Józefa Jungmana, historyka Franciszka Palackiego, poetów — Franciszka Czelakowskiego, Jana Kollara, slawisty Pawła Szafarzyka.

Potem poszczególne sale klasyków literatury czeskiej: romantyka Karola Machy, dramaturga Tyla, satyryka Havliczka, powieściopisarki Bożeny Niemcovej itd. Lata sześćdziesiąte reprezentuje prozaik i poeta Jan Neruda, poeta Vit. Halek; schyłek XIX wieku — powieściopisarka i bojowniczka o prawa kobiet Karolina Sviatla, wreszcie poeta Adolf Heyduk.

A potem stulecie obecne: Jarostaw Vrchlicky, Świętopełk Czech, Józef Sladek, Alojzy Jirasek, Piotr Bezruč, modernisci. Jest i sala poświęcona klasykom rosyjskim (Puszkin, Lermontow, Gogol, Gonczarow, Niekrasow, Soltykow-Szedrin, Turgeniew, Ostrowski, Lew Tolstoj, M. Gorki). Wreszcie w refektarzu klasztornym wystawa „Na

dać, że bogata treść została tu ubrana w bardzo staranną szatę graficzną, na co złożyły się: czysta czcionka, piękne międzywiersze i bardzo dobry papier. Dzięki temu Almanach uważany jest za najpiękniejszy druk lubelski.

Tym przyjemnym akordem kończy się okres poprzedzający powstanie właściwej prasy w Lublinie.

Roman Rosiak

„NASZ EKRAŃ

„KOLOROWE POŃCZOCHY”

Na tle wyświetlanych równocześnie w Lublinie filmów dokumentalnych jako szczególnie jaskrawo rysują się słabości „Kolorowych pończoch”. Film składa się z dwu noweli: „Matylda” (rolę tytułową gra tu Zosia Bodakowska z Zamościa zeszlorczonej laureatka Konkursu Recytatorskiego) oraz „Jadźka”. Wartość obu części jest nierówna; pierwsza jest wręcz słaba, kliwka i melodramatyczna, druga znacznie ciekawsza, ale obie wykazują pewne tendencje, właściwe dla twórczości Nasfetera, a chyba dość niebezpieczne. Nasfetera interesuje psychika dzieci, ich „male dramaty”. Dziecko to dla filmu, a właściwie w ogóle dla sztuki — temat bardzo trudny. Chyba dlatego, że urok dziecka, poezja dziecka to przede wszystkim jego autentyczność, bezpośredniość i fantazja, a więc sprawy najtrudniejsze do ujęcia w kształt artystyczny. Pomyślmy, jak niewielu malarzy, jak niewielu pisarzy potrafiło dać sobie radę z tym tematem. Z malarzy czołowe miejsca należą się zresztą Polakom: mam na myśli Wyspiańskiego i Makowskiego. Z pisarzy — trudno nie wspomnieć przede wszystkim wielkiego Manna z jego Hanno Buddenbrookiem i Fehem z Faustusa”. A w filmie najudatniejsze —

bo autentyczne — wizerunki dzieci daje właśnie film dokumentalny lub bliski mu neorealizm (kapitałny chłopak w „Złodziejach rowerów”). Jakże błada jest „Jadźka” wobec „Samych na świecie”. W „Jadźce” odkrywczość psychologiczna nie wykracza w istocie poza to, co dawało „Serce” Amicisa; są nawet uderzające analogie między pewnymi postaciami filmu i opowieści (paniczek-Nobis). Co gorsza, w stosunku do kontekstu społecznego Nasfeter jest znacznie mniej wierny niż stary Amicis. Oczywiście, że reżyser ma prawo — jak np. Lamorisse w „Białej grywie” — skoncentrować się na studium psychologicznym, umieszczając je w świecie umownym, poza czasem i przestrzenią. Ale w „Jadźce” problem ma ostatecznie aspekt zdecydowanie społeczny i został przez autora umiejscowiony w konkretnej rzeczywistości społecznej, w Polsce naszych dni. I wtedy mamy prawo żądać wierności wobec realiów i wobec realnych problemów. W „Jadźce” pewne realia i sytuacje (wyniknął je słusnie recenzent „Trybuny Ludu”) są tak nieprawdopodobne, że podkopują wiarę widza w rzetelność obserwacji także jeśli idzie o problematykę psychologiczną. W dodatku Nasfeter ma tendencje do poetyzowania sytuacji przy pomocy udziwnionych akcesoriów; w filmie jego „Serce” krzyżuje się z „Moim przyjacielem Meaulnes’em”, a ta poetyka fałszywej poetyczności nie jest chyba najodporniejsza zalecenia.

„Kunst naturze nie dorówna” — powiedział Wyspiański. — wielki malarz dzieci. Aforyzm jego jest szczególnie aktualny w stosunku do większości utworów, dzieciom poświęconych.

„U PRUGU ŻYCIA”

Film „U prugu życia” tylko pozornie różni się od innych filmów Bergmana. W tym dziele, bliskim dokumentu, nie ma co prawda wyrafinowanej metafo-

(Dokończenie na str. 12)

Wielki malarz dzieci. Aforyzm jego jest szczególnie aktualny w stosunku do większości utworów, dzieciom poświęconych.

Film „U prugu życia” tylko pozornie różni się od innych filmów Bergmana. W tym dziele, bliskim dokumentu, nie ma co prawda wyrafinowanej metafo-

(Dokończenie na str. 12)

Wielki malarz dzieci. Aforyzm jego jest szczególnie aktualny w stosunku do większości utworów, dzieciom poświęconych.

Film „U prugu życia” tylko pozornie różni się od innych filmów Bergmana. W tym dziele, bliskim dokumentu, nie ma co prawda wyrafinowanej metafo-

(Dokończenie na str. 12)

# W SPRAWIE MUZEUM LITERATURY

KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI

W numerze 51 „Przeglądu Kulturalnego” Jan Parandowski przypomniał swoją ze wszech miar słuszną przedwojenną inicjatywę w sprawie założenia w stolicy muzeum literatury. Pomyśl autora „Alchemii słowa” zrodził się tuż przed wojną, której wybuch przekreślił całkowicie możliwość urzeczywistnienia tego projektu. Przypomniał Parandowski o nim już w pierwszym potowojennym zjeździe literatów w Krakowie, a później, jak pisał, „korzystał z każdej sposobności, by wznowić tę sprawę”. Mimo to wciąż jeszcze nie mamy w Warszawie muzeum literatury.

Na siedzibę projektowanego muzeum inicjator upatrzył już w r. 1939 domek J. I. Kraszewskiego przy ul. Mokotowskiej. W piśmie rozesłanym w owym czasie wszystkim członkom PEN-Clubu, muzeologom, historykom literatury i in. osobistościom Parandowski wspomina, że muzeum literatury byłoby nowością, „przynajmniej nie zdarzyło mu się spotkać nigdzie podobnej instytucji”.

Prawdopodobnie przed wojną tak było istotnie. Obecnie w Moskwie, oprócz monograficznych muzeów L. Tolstoja, Czechowa, Gorkiego czy Majakowskiego, istnieje Państwowe Muzeum Literatury, instytucja naukowo-badawcza i kulturalno-oświatowa, związana z historią literatury i ruchów społecznych w Rosji. Nie miałem jednak sposobności poznania jej bawiąc w ubiegłym roku w stolicy Związku Radzieckiego.

Ale zwiędziłem w r. 1954 Muzeum Piśmiennictwa Narodowego na Strahow w Pradze, otwarte w r. 1953. Mieści się ono w wielkich budynkach poklasztornych zakonu norbertanów, a znajduje się też tutaj czeski Instytut Literatury Akademii Nauk, Archiwum Literackie Muzeum Narodowego i olbrzymia biblioteka, z której każdy może korzystać na miejscu. Muzeum to jest naprawdę imponujące: obejmuje dzieje piśmiennictwa czeskiego od jego zarania, od Cyryla i Metodego, aż do czasów dzisiejszych.

Obszerny czworokątny dziedziniec klasztorny otoczony jest na parterze krużgankiem, w którym na ścianach i w wnękach umieszczono ekspozycje ilustrujące początki kultury słowiańskiej (wykopaliska) i narodu czeskiego: podania historyczne, w gablotkach pamiątki po kulturze materialnej państwa wielkomorawskiego i zabytki

świadczące o rozkwicie literatury starosłowiańskiej, m. in. pierwsza kronika czeska Kosmasa — fotografie, obrazy, oryginały. Szczególną wagę poświęcono pokazaniu rozwoju języka czeskiego w późniejszym okresie — od krótkich wstawek w tekstach łacińskich aż do legend pisanych już wyłącznie po czesku. Wiek XIV obok utworów religijnych reprezentują takie dzieła, jak epos o feudalnym rycerstwie „Aleksandris”, wierszowana kronika Dalimila, liryka za Karola IV i dzieła naukowe, które powstały w związku z otwarciem uniwersytetu w Pradze.

W obszernej sali romańskiej ze szczególnym pietyzmem umieszczono ekspozycję związaną z postacią Jana Husa, nie tylko jako teologa, ale przede wszystkim jako bojownika o sprawiedliwość społeczną, o prawdę.

Wynalazek druku, pierwsze drukarnie i książki — to wszystko aż do klaszki bibliograficznej — przedstawiają dalsze sale położone na piętrze. Specjalna sala poświęcona jest ekspozycjom łączącym się z działalnością pisarską Jana Amosa Komenskiego.

A potem — pokoje związane z postaciami wielkich patriotów, „budzieli” którzy dźwignęli język czeski i literaturę z upadku po dwuwiekowym mroku zastoju i ucisku, kiedy to tylko chłopcy i plebejska warstwa w miastach zachowała w czystości język narodowy, — a więc sale twórcy filologii słowiańskiej Józefa Dobrowskiego, czeskiego Lindego — Józefa Jungmana, historyka Franciszka Palackiego, poetów — Franciszka Czelakowskiego, Jana Kollara, slawisty Pawła Szafarzyka.

Potem poszczególne sale klasyków literatury czeskiej: romantyka Karola Machy, dramaturga Tyla, satyryka Havliczka, powieściopisarki Bożeny Niemcovej itd. Lata sześćdziesiąte reprezentuje prozaik i poeta Jan Neruda, poeta Vit. Halek; schyłek XIX wieku — powieściopisarka i bojowniczka o prawa kobiet Karolina Sviatla, wreszcie poeta Adolf Heyduk.

A potem stulecie obecne: Jarostaw Vrchlicky, Świętopełk Czech, Józef Sladek, Alojzy Jirasek, Piotr Bezruč, modernisci. Jest i sala poświęcona klasykom rosyjskim (Puszkin, Lermontow, Gogol, Gonczarow, Niekrasow, Soltykow-Szedrin, Turgeniew, Ostrowski, Lew Tolstoj, M. Gorki). Wreszcie w refektarzu klasztornym wystawa „Na

dać, że bogata treść została tu ubrana w bardzo staranną szatę graficzną, na co złożyły się: czysta czcionka, piękne międzywiersze i bardzo dobry papier. Dzięki temu Almanach uważany jest za najpiękniejszy druk lubelski.

Tym przyjemnym akordem kończy się okres poprzedzający powstanie właściwej prasy w Lublinie.

Roman Rosiak

„NASZ EKRAŃ

„KOLOROWE POŃCZOCHY”

Na tle wyświetlanych równocześnie w Lublinie filmów dokumentalnych jako szczególnie jaskrawo rysują się słabości „Kolorowych pończoch”. Film składa się z dwu noweli: „Matylda” (rolę tytułową gra tu Zosia Bodakowska z Zamościa zeszlorczonej laureatka Konkursu Recytatorskiego) oraz „Jadźka”. Wartość obu części jest nierówna; pierwsza jest wręcz słaba, kliwka i melodramatyczna, druga znacznie ciekawsza, ale obie wykazują pewne tendencje, właściwe dla twórczości Nasfetera, a chyba dość niebezpieczne. Nasfetera interesuje psychika dzieci, ich „male dramaty”. Dziecko to dla filmu, a właściwie w ogóle dla sztuki — temat bardzo trudny. Chyba dlatego, że urok dziecka, poezja dziecka to przede wszystkim jego autentyczność, bezpośredniość i fantazja, a więc sprawy najtrudniejsze do ujęcia w kształt artystyczny. Pomyślmy, jak niewielu malarzy, jak niewielu pisarzy potrafiło dać sobie radę z tym tematem. Z malarzy czołowe miejsca należą się zresztą Polakom: mam na myśli Wyspiańskiego i Makowskiego. Z pisarzy — trudno nie wspomnieć przede wszystkim wielkiego Manna z jego Hanno Buddenbrookiem i Fehem z Faustusa”. A w filmie najudatniejsze —

bo autentyczne — wizerunki dzieci daje właśnie film dokumentalny lub bliski mu neorealizm (kapitałny chłopak w „Złodziejach rowerów”). Jakże błada jest „Jadźka” wobec „Samych na świecie”. W „Jadźce” odkrywczość psychologiczna nie wykracza w istocie poza to, co dawało „Serce” Amicisa; są nawet uderzające analogie między pewnymi postaciami filmu i opowieści (paniczek-Nobis). Co gorsza, w stosunku do kontekstu społecznego Nasfeter jest znacznie mniej wierny niż stary Amicis. Oczywiście, że reżyser ma prawo — jak np. Lamorisse w „Białej grywie” — skoncentrować się na studium psychologicznym, umieszczając je w świecie umownym, poza czasem i przestrzenią. Ale w „Jadźce” problem ma ostatecznie aspekt zdecydowanie społeczny i został przez autora umiejscowiony w konkretnej rzeczywistości społecznej, w Polsce naszych dni. I wtedy mamy prawo żądać wierności wobec realiów i wobec realnych problemów. W „Jadźce” pewne realia i sytuacje (wyniknął je słusnie recenzent „Trybuny Ludu”) są tak nieprawdopodobne, że podkopują wiarę widza w rzetelność obserwacji także jeśli idzie o problematykę psychologiczną. W dodatku Nasfeter ma tendencje do poetyzowania sytuacji przy pomocy udziwnionych akcesoriów; w filmie jego „Serce” krzyżuje się z „Moim przyjacielem Meaulnes’em”, a ta poetyka fałszywej poetyczności nie jest chyba najodporniejsza zalecenia.

„Kunst naturze nie dorówna” — powiedział Wyspiański. — wielki malarz dzieci. Aforyzm jego jest szczególnie aktualny w stosunku do większości utworów, dzieciom poświęconych.

„U PRUGU ŻYCIA”

Film „U prugu życia” tylko pozornie różni się od innych filmów Bergmana. W tym dziele, bliskim dokumentu, nie ma co prawda wyrafinowanej metafo-

(Dokończenie na str. 12)

Wielki malarz dzieci. Aforyzm jego jest szczególnie aktualny w stosunku do większości utworów, dzieciom poświęconych.

Film „U prugu życia” tylko pozornie różni się od innych filmów Bergmana. W tym dziele, bliskim dokumentu, nie ma co prawda wyrafinowanej metafo-

(Dokończenie na str. 12)

Wielki malarz dzieci. Aforyzm jego jest szczególnie aktualny w stosunku do większości utworów, dzieciom poświęconych.

Film „U prugu życia” tylko pozornie różni się od innych filmów Bergmana. W tym dziele, bliskim dokumentu, nie ma co prawda wyrafinowanej metafo-

(Dokończenie na str. 12)

Wielki malarz dzieci. Aforyzm jego jest szczególnie aktualny w stosunku do większości utworów, dzieciom poświęconych.

Film „U prugu życia” tylko pozornie różni się od innych filmów Bergmana. W tym dziele, bliskim dokumentu, nie ma co prawda wyrafinowanej metafo-

(Dokończenie na str. 12)

Wielki malarz dzieci. Aforyzm jego jest szczególnie aktualny w stosunku do większości utworów, dzieciom poświęconych.

Film „U prugu życia” tylko pozornie różni się od innych filmów Bergmana. W tym dziele, bliskim dokumentu, nie ma co prawda wyrafinowanej metafo-



# MAŁA METAFORA

ZBIGNIEW BIEGAŃSKI

— Nie ma pan pojęcia, ile kłopotu z takim maluchem. Ciągłe trzeba to pilnować, żeby sobie czego nie zrobiło, żeby nie płakało, żeby się nie zmoczyło, czy go przypadkiem co nie boli, czy nie daj Boże — nóżki mu się nie wykrzywają...

Mój rozmówca popychał okazałych rozmiarów głęboki wózek. Szedłem obok niego — i słuchałem dalszych jego wynurzeń.

— Ale czy pan, kawaler, może mieć o tym jakiegoś pojęcie? Pan patrzy tylko, żeby jak ten motylek, z kwiatka na kwiatek. Fiubdzisz panu tylko w głowie...

Ależ panie, co pan też... Rozumiem doskonale potrzebę odpowiednio uregulowanego przyrostu naturalnego... — zaprotestowałem.

— Co mi tam pan będziesz opowiadał — przerwał mi. — Dopóki człowiek nie postara się o takiego ot maleńkiego swego następcę tronu — nie jest człowiekiem, nie wie, co to życie i na czym ono polega!

Zrobiło mi się głupio, bo rzeczywiście jestem kawalerem, dzieci nie posiadam, jednym słowem: jestem aspołeczną jednostką. Podziękowałem więc obok mojego rozmówcy i od czasu do czasu typtałem zazdrośnie na wózek.

— Nie masz pan pojęcia, co to za przyjemność toczyć przed sobą takie coś. Kto tego nie zakosztował, nie potrafi zrozumieć. Człowiek idzie... Idzie przez ulicę, przez park, toczy przed sobą te cztery kółka i czuje, że czymś się dla społeczeństwa przysłużył, że jest jednostką wartościową, wyróżniającą się, męczące to, bo męczące, ale daje satysfakcję...

Było mi bardzo głupio, że ja tak jakoś idę, jak gdyby nigdy nie obok niego, słucham i nie przyczynam się. Poprosiłem nieśmiało:

— Może by mi pan tak pozwolił chociaż przez chwilę ten wózek popchnąć... Pan sobie odpocznie, a ja...

— Masz pan, pchaj pan — powiedział krótko i ustąpił mi miejsca. Dziecko było szalenie opatulone kocem, tak że w ogóle nie było go widać. Popychałem wózek, a pierś mą rozpięła zadowolenie, jakie nawiedza człowieka tylko w momentach spełnienia szczególnie zaszczytnych obowiązków.

Dobrześliśmy wreszcie do domu. Zatrzymałem wózek i podziękowałem mu.

On zerwał z wózka warstwę koców i wydobyl okazałych rozmiarów worek ziemniaków.

— Dziękuję za przystupę. Wstąp pan kiedyś do nas na ziemniaki. Wolisz pan purée, z rusztu, czy w mundurkach?

— Niech będzie purée — oświadczyłem machinalnie i zapytałem:

— A dzieci państwo macie?

— Nie, a po co?

## NOTY

WSRÓD NUMERÓW ŚWIĄTECZNYCH tygodników literackich wyróżnia się „Nowa Kultura”, przynosząca utwory czołowych autorów polskich oraz specjalnie nadstawne na prośbę redakcji, dotychczas nie publikowane prace pisarzy obcych: W. Szklowskiego, Anny Seghers, Vercoorsa i P. Gascara. Bardzo interesujące są wspomnienia Szklowskiego o Jesieninie i Gorkim.

WYNIK ANKIETY „POLITYKI” WSRÓD LITERATÓW. Za najlepszy utwór z roku 1960 uznano „Spłową bramę” Tadeusza Brezy, z pisarzy obcych — „Doktora Faustusa” Tomasza Manna. W dziedzinie dramaturgii palmę pierwszeństwa otrzymał Leon Kruczkowski za „Pierwszy dzień wolności”, z filmów wyróżniono „Tam, gdzie rośnie poziomki” Bergmana.

Z PRZYJEMNOŚCIĄ NOTUJEMY, że w konkursie „Nowej Kultury” na opowiadanie o tematyce współczesnej m. in. został wyróżniony utwór Edwarda Stachury „Jasny pobyt nadrzeczny”.

W TONACJI „PRZEKROJU”. „Przygotuj pieniądze”, „Zbieraj siły”, „Oszczędzaj wrodek”, „Trochę pieniędzy, trochę poczucia humoru, trochę inteligencji” i „Jakaż to będzie przyjemność” — oto slogany reklamowe widniejące na pierwszej stronie... „Przekroju”? Nie, „Przekrój” jest bardziej lakoniczny i lekki w swym dowcipie. Tak reklamuje swój numer świąteczny w numerze 51 „Przegląd Kulturalny”!

-kaj-

## O czym pisała „Kamena” przed 25 laty

Styczeńowy numer (25) „Kamena” z roku 1926 zawierał artykuł A. Łaszowskiego „O postawie poetyckiej Lieberta”, wiersze Al. Baumgardtana, Jana Brzękowskiego, Jana Kotta i Zb. Jasińskiego, artykuł J. Iwanickiego „Pieśńca Pie-Madonna” i trzech alpinistów, przekład alpinistycznego poematu Mikołaja Grodzkiego „Belladonna” (K. A. Jaworski), tłumaczenia czterech pieśni Horacego (Tadeusz Bocheński), wypowiedzi K. W. Zawodzińskiego i Lwa Gomulickiego na marginesie artykułu G. Timofiejewa „Wyzwalanie szatana i wyzwalać eniota”, zamieszczonego w poprzednim numerze „Kamena”, oraz noty, wśród których znajduje się ostra rozprawa z Knutem Hamsunem za jego stanowisko zajęte w związku z wysuwaniem Osietyzki do pokojowej nagrody Nobla. Numer zdołał wkładka ilorystowa Zenona Waśniewskiego „Martwa natura”.

## Pomagajmy TPD!

Prezydium Zarządu Okręgu TPD w Lublinie wydało ulotkę, w której zwraca się z apelem do całego społeczeństwa, by przyszło z pomocą planowanej przez TPD akcji opiekuńczej - wychowawczej nad sierotami, dziećmi maltretowanymi przez rodziców i znajdującymi się w trudnych warunkach materialnych. W odezwie tej czytamy m. in. słowa zachęty do organizowania Koła Przyjaciół Dzieci w osiedlach mieszkaniowych i zakładach pracy. TPD zwraca się także do wszystkich z prośbą o pomoc przy budowie placów do gier i zabaw dla dzieci, prosi też o dary w naturze (zabawki, książki, odzież) czy pieniądze. Zgłoszenia pomocy należy kierować do Zarządu Okręgu TPD w Lublinie, Plac Litewski 1, pokój 9 (gmach DOSZ, tel. 41-66). Wpłaty pieniężne przyjmuje NBP-III Oddział Miejski w Lublinie — konto Nr 816-9-623 oraz wszystkie Oddziały Powiatowe TPD na terenie naszego województwa.

Wszystkim, którzy przesłali mi życzenia w związku z 40-leciem mojej pracy literackiej, składam tą drogą serdeczne podziękowanie.

K. A. Jaworski

## KSIĄŻKI NADESLANE

- John Wain — Bez wczoraj i bez jutra, przełożyła Maria Skroczyńska, 1960, wydanie pierwsze.
- Milan Füst — Historia mojej żony, przełożyła Maria Styczyńska, 1960, wydanie pierwsze.
- Truman Capote — Zatrzaśnij ostatnie drzwi, przełożył Krzysztof Zarzecki, 1960, wydanie pierwsze.
- Grigorij Bielch, Leonid Pantielew — Republika Szkid, przełożył R. H. Winian, 1960.
- William Szekspir — Cymbelin, przełożyła Zofia Siwicka, 1960, wydanie pierwsze.
- Polska Akademia Nauk — Instytut Badań Literackich — Komedia obyczajowa warszawska, opracowała i wstępem poprzedziła Zofia Wołoszyńska, 1960, 2 tomy.
- Rolice-Lieder — Poezje wybrane, wybrał i wstępem poprzedził Juliusz W. Gomulicki, 1960.
- Edward Krasiński — Edmund Wierciński, 1960.
- Zofia Wojnarowska — Wybór wierszy, wstępem opatrzył Stanisław Byszard Dobrowolski, 1960, wydanie pierwsze.
- Jesienin — Poezje, redagował i słowem wstępnym opatrzył Ziemowit Fedeciński, 1960.

Rysunki w numerze:  
Teresa Targońska

## NASZ EKRAŃ

### „U PROGU ŻYCIA”

(Dokończenie ze str. 11)

ryki, ale jest to, co najistotniejsze dla Bergmana: gwałtowna, bezkompromisowa, brutalna konfrontacja człowieka ze sprawami ostatecznymi: śmiercią, miłością, cierpieniem, tym razem poprzez pryzmat sprawy pierwszej — narodzin. Bergman, jak zwykle, mówi to, co ma do powiedzenia, nie zważając na ewentualne „ochy” i „achy” zgorszonych; odnosi się nawet wrażenie, że po to wybiera tematykę dramatyczną, aby przez nią skusić, a w rezultacie zmusić do wysłuchania swoich prawd tych, do których nie trafił wymyślniejsza „Siódma pieczęć” czy „Poziomkowa polana”. Lubelska publiczność w długich kolejkach stoi po bilety na ten film: ludzie idą żądni silnych wrażeń, trochę niezdrowej sen-

sacji, a wychodzą — niektórzy z niesmakami, przeważnie jednak poruszeni, wstrząśnięci, zadumani. Zadumani nad dziwnym życiem, gdzie ból spleta się z radością, szczęście z niedolą, nardziny z zagładą, gdzie od pierwszego technienia idzie za człowiekiem wierny towarzysz podróży — cierpienie...

Film „U progu życia” oglądamy równocześnie w Warszawie, ale dlaczego wiele innych doskonałych dzieł dociera do nas z takim opóźnieniem, albo wcale? Dla przykładu wspomnę rewelacyjnego „Czarnego Orfeusza”, o którym jakoś u nas nie słychać, czy dyskusyjną, ale tak głośną „Hiroshimę” i czy w ogóle nie warto by pomyśleć dla Lublina o kinie dobrych filmów? Jakaś niewielka sala by się na ten cel znalazła, a sądząc po powodzeniu, jakim kina tego typu cieszą się w innych miastach — i w Lublinie nie byłoby chyba pustki na sali?

A. T.

## KAZIMIERZ którego nie ma

(Dokończenie ze str. 9)

kraciastych kurtkach i nieprawdopodobnych beretach, warszawskich panien, udrapowanych w psre chusty i welniaki, tylko co zakupione z jarmarcznego wozu jakiejś okolicznej gospodyni. Tych „najeźdźców” Kazimierza Dorys nie uwiecznił.

A doróśli autochtoni. Na wystawie jest osobny i osobliwy cykl: „Rozmowy”. Dwoje ludzi, najczęściej odmiennej płci. Rozmawiają, nie patrząc na siebie, jakby z góry wiedzieli, co sobie powiedzą. Czasem odwróceniu do widza plecami. Ale już po wyrazie tych pleców można się domyślić, że wieści nie są dobre...

Raz albo dwa razy na tydzień miasteczko się ożywia. To są dni targo-

we. Na rynku rojno od wozów, ludzi i koni. Tłok, kurz i harmider. Wiadomo, jarmark to święto dla miasteczka, którego architektura nadaje mu fizjonomię nieustającego „święta szalaśców”. Taki właśnie Kazimierz ocenił Dorys od zapomnienia. Czasem tylko jakby dla ochłody wplótł oazę do tej pustyni: jakiś fragment urbanistyczny koło fary, jakąś bramkę przy klasztorze, przez którą przecieka cichy strumyk ludzki. Zresztą rudery, nędza i spieka.

Niezależnie od tego przejmującego cyklu kazimierzowskiego pokazał nam Dorys kolekcję portretów o rzadko spotykanej pełni wyrazu. Po tym wyrazie, nie tyle co po podobieństwie rysów, poznaje się nieomylnie modela. Czasem są to wizerunki duszy, czasem zdarta maska... A wśród nich unikat o przedziwnej wymowie: akt kobiecy w kilku pozach, składających się na jedyny w swoim rodzaju poemat ludzkiego ciała.

W sumie: piękny dorobek trzydziestoletniej pracy artysty-fotografa.

Stefania Podhorska-Okolów



Starczy I